



MEREDITH WEBBER



Słowo oficera

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jak to, budynek jest zajęty?

Za starym kamiennym murem rozległ się twardy, rozkazujący głos. Kirsten wyteżyła słuch, by usłyszeć odpowiedź uprzejmego, młodego porucznika, do którego być może niesłusznie się uprzedziła.

Cisza.

Widocznie ten specyficzny, doniosły ton był charakterystyczny tylko dla starszych rangą żołnierzy.

- Słucham?! Ktoś tu mieszka i dotąd tych ludzi nie przenieśliście?!

Znowu ten sam władczy głos, jednak tym razem bardziej wzburzony. Zapewne irytację wywołały słowa, których Kirsten nie zdołała usłyszeć. Czuła, że pomimo obawy powinna włączyć się w tę rozmowę. Bądź się wycofać...

Do tej pory kryła się w marmurowym wejściu dawnego klasztoru, podczas gdy mężczyźni stali na zewnątrz pod tarasem, który dawał jako takie zabezpieczenie przed deszczem. Odgłos kroków na schodach zaskoczył ją. Zdażyła jedynie cofnąć się, by wyglądało to tak, jakby właśnie wchodziła do holu.

Rozkazujący głos należał do wysokiego, postawnego mężczyzny. Urodzony żołnierz, przemknęło jej przez myśl. Był tak przemoczony, że sfatygowany mundur przylgnął do niego jak druga skóra, ujawniając umięśnione ciało. Miał ciemne włosy, Kirsten nie mogła jednak dostrzec koloru ani wyrazu jego oczu, gdyż światło padające zza otwartych za jego plecami drzwi pogrzyżyło twarz mężczyzny w cieniu.

Za plecami żołnierza zauważyła ciężarówki grzęznące w rozmokłej ziemi.

- Czy mogę w czymś panom pomóc? - zapytała uprzejmie, lecz trochę oficjalnie.

Mężczyzna, zaskoczony jej widokiem, nie zareagował na pytanie, tylko zwrócił się do swego podwładnego:

- Byłem przekonany, że kobiety i dzieci zostały ewakuowane, poruczniku?

Sądząc z jego tonu, raczej „wytepione”, pomyślała Kirsten.

- Niezupełnie - odparł nieszczęśnik, który wcześniej przedstawił się jej jako porucznik James Ross.

- Właśnie widzę, poruczniku!

- To znaczy... doktor McPherson jest lekarką - wyjąkał.

Biedak, pomyślała Kirsten i spojrzała na rozdrażnionego dowódcę, zastanawiając się, jak zareaguje na tę wiadomość.

- Ale to nie zmienia faktu, że jest kobietą - warknął.

Brązowe, jego oczy są brązowe, uświadomiła sobie Kirsten, patrząc na mężczyznę przeszywającego wzrokiem młodego porucznika. Ten ostatni zupełnie się zaplątał, próbując znaleźć wytłumaczenie, które usatysfakcjonowałoby przełożonego.

Rozbawiona, uśmiechnęła się do stremowanego żołnierza. Miała z nim wcześniej małe starcie. Małe? Prawdę mówiąc, straciła nad sobą kontrolę i wylądowała na nim całą złość i frustrację, jakie nagromadziły się w niej w ciągu tych burzliwych miesięcy, kiedy to zżarcie walczyła o przetrwanie szpitala w Murrawarze.

Może powinna zrekompensować tamten wybuch złości, ratując go teraz z opresji...

- Zapewne zrozumiałby pan lepiej całą sytuację, gdyby zwrócił się pan wprost do mnie, a nie szukał pośredników. Jeżeli będzie pan mówił wolno i wyraźnie, na pewno zrozumiem - odezwała się do rozjątrzonego dowódcy.

Spojrzenie brązowych oczu zatrzymało się na niej i było jasne, że mężczyzna nie przywykł, by zwracano się do niego bez wcześniejszego zezwolenia. No, może tylko na piśmie. Bezwiednie pomyślała o karze za niesubordynację.

- Jestem major Harry Graham, dowódca operacji. Mam rozkaz przekształcić ten budynek w Kwaterę Główną - oznajmił, ignorując jej komentarz. - Organizujemy tu wojskowy POM, czyli punkt opieki medycznej, i pani pomoc nie będzie nam potrzebna. Ma pani godzinę na spakowanie, a potem pani i kto tam jeszcze się tu ukrywa, zostaniecie przewiezieni do Veretonu.

W tym momencie zjawił się Ken. W samą porę. Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, i zabójczo przystojny, był także najlepszym pielęgniarzem, jakiego Kirsten znała.

- Dzwonił Rob West. Przywozi Cathy - poinformował ją, nie zwracając uwagi na intruzów. - Podpłynię do brzegu wału przeciwpowodziowego koło starej rzeźni. Ktoś musi tam na nich czekać za godzinę. Nie, za jakieś trzydzieści pięć minut.

Kirsten zerknęła na zegarek.

- Już jadę. Miej wszystko na oku.

Ken skinął głową i zniknął w korytarzu wiodącym do ich „oddziału szpitalnego”.

- Macie opuścić to miejsce za godzinę, a nie przywozić tu więcej ludzi. - Brązowe oczy spoczęły na Kirsten. - Ten budynek ma być...

- Powtarza się pan - przerwała. - Potrzebuje go pan na Kwaterę Główną, a ja na szpital. Czy jasno się wyrażam? Szpital to takie miejsce, w którym umieszcza się ludzi potrzebujących opieki medycznej. Jeżeli nawet utworzy tu pan swój mały POM, to wątpię, czy poradzi on sobie ze wszystkimi moimi pacjentami. Na przykład ta ciężarna kobieta. Jej nagły przyjazd oznacza, że poród już się zaczął.

- Dlaczego nie odtransportowano jej wcześniej helikopterem?! - warknął doprowadzony do wściekłości dowódca.

- Jej ewakuacja powinna być najważniejsza. Wydaje mi się, że pani nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Do tego miasta zbliża się potężna fala, która może zniszczyć ponad dziewięćdziesiąt procent zabudowań! Na pewno zabraknie wody pitnej i wielu innych rzeczy. To nie jest miejsce dla kobiety w ciąży!

- Chciał pan powiedzieć, kobiety w ogóle - poprawiła go. - Przypominam, że klasztor ma własny zbiornik wody pitnej, generatory i system antyseptyczny. Ponadto jest położony wystarczająco wysoko, żeby powódź go nie uszkodziła. Podejrzewam, że to dlatego chce pan utworzyć tutaj swoje SD.

Uniósł w zdziwieniu brwi.

- SD?

- Stanowisko Dowodzenia - wyjaśniła, uśmiechając się.

- Nazwa wydaje się całkiem niezła. Może ją pan włączyć do swojego wojskowego słownika, jeśli jeszcze jej tam nie ma. A teraz przepraszam, ale pacjenci czekają.

- Pacjenci? Ma pani tutaj więcej pacjentów?! Boże! Kobieto, czy pani naprawdę nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia? Dlaczego ich wcześniej nie ewakuowano? Kto zezwolił na ich pozostanie w mieście?

Kirsten zapomniała o poczuciu humoru i wycodziła:

- Posłuchaj, ważniaku! - Dźgnęła go palcem w klatkę piersiową. - Nie potrzebuję niczyjego zezwolenia, żeby wykonywać swoją pracę. Jestem związana przysięgą, której pański regulamin nie obejmuje. Obowiązuje mnie coś takiego jak współczucie i humanitarność, czyli zasady ignorowane przez ludzi pańskiego pokroju, bo nie da się ich

umieścić na wykresie i zmierzyć ich efektywności za pomocą liczb. - Zamilkła, by zaatakować jeszcze raz. - I proszę nigdy nie zwracać się do mnie per „kobieto”. Nigdy! Nazywam się McPherson. Dla przyjaciół Kirsten, dla pana - doktor McPherson. Zrozumiano?!

Harry zmierzył wzrokiem tę małą nerwową kobietkę, która miała czelność odnosić się do niego w tak impertynencki sposób. Miała jasne, lekko falujące włosy, okalające twarz o szlachetnych rysach. Zastanawiał się, gdzie mógł ją wcześniej widzieć, gdy kolejne ukłucie bólu przywiodło go do rzeczywistości.

- Nie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy z poznania pani, doktor McPherson - stwierdził oschle, uświadamiając sobie jednocześnie, że męczy go taki sposób prowadzenia rozmowy. Potrzebował odpoczynku. Zapytał siebie, kiedy ostatnio widział błękitne niebo i czy miało ono taki sam odcień jak rozzłoszczone oczy tej kobiety.

Wyprostował się, powracając do przerwanej wątku:

- Jak już mówiłem, zajmujemy ten budynek i ta kwestia nie podlega dyskusji. Zgodnie z ostatnimi doniesieniami, fala powodziowa osiągnie szczyt w ciągu najbliższych trzech do pięciu dni, co nie daje mnie i moim ludziom zbyt wiele czasu na umocnienie wałów i zrobienie wszystkiego, co się da, aby uratować resztki tego miasta.

Jej błękitne oczy pociemniały, coraz bardziej przypominając niebo przed burzą.

- Długo trwało, nim dotarliście tutaj - odcięła się. - To już trzecia fala w ciągu ostatnich miesięcy. Właśnie dlatego szpital zaczął działać w klasztorze. Pierwsza zniszczyła zabudowania przyszpitalne i naruszyła fundamenty głównego budynku na tyle, że druga poniosła go dwieście metrów w dół. Osadziła go wprawdzie bezpiecznie, ale podłogi nie są stabilne. To, plus nieznośny odór, nie sprzyjało opiece nad pacjentami.

Znowu zbiła go z tropu. Wiedział to, ale nie rozumiał, jakim sposobem.

- Musicie opuścić ten teren.

- Nigdzie się stąd nie ruszymy - odparła stanowczo. - Ale jest tu wystarczająco dużo miejsca. Zajęliśmy jedynie zachodnie skrzydło i kilka małych pokoi, w których kiedyś przypuszczalnie mieściły się biura. Kuchnia jest na połączeniu skrzydeł. Na pewno wszyscy się zmieścimy.

Harry przymknął na chwilę oczy, by złagodzić wzrastające napięcie.

- Nie będziemy dzielić żadnych pomieszczeń, ponieważ pani tu nie zostaje.

Jego słowa miały zabrzmieć ostro i stanowczo, ale zostały stłumione przez głośne kichnięcie.

- Powinien pan zdjąć to mokre ubranie - zauważyła wręcz troskliwie. - Nie narzekam na nadmiar personelu i nie chciałabym mieć dodatkowych pacjentów.

Zaczął zastanawiać się nad sposobem ukarania tego niepokornego cywila w spódnicy, gdy kobieta bez słowa odwróciła się i zniknęła w korytarzu, którym wcześniej oddalił się jej pomocnik. Szurnięcie nóg za plecami przypomniało mu, kogo powinien winić za tę sytuację.

- Gdzie jest kapitan Woulfe? - zapytał ostro Rossa. - On powinien był się tym zająć.

- Został zatrzymany w dowództwie. Zdaje się, że major wręczył mu listę posiadłości, które powinny być szczególnie zabezpieczone. Kapitan Woulfe zajął się tym. Prawdopodobnie są one własnością majora.

Harry odetchnął głęboko i kichnął ponownie. Może rzeczywiście powinien zmienić ubranie? Hałas za oknem oznaczał, że kolejne ciężarówki dotarły na miejsce, pokonując zdradliwy szlak górski - jedyną lądową drogę do miasta.

- Ulokuj nasze rzeczy w wolnych pokojach we wschodnim skrzydle, o których mówiła twoja przyjaciółka, pani doktor - rzekł, wskazując głową na schody. - Ja lepiej dołączę do tej akcji ratunkowej. Właściwie nie możemy nic więcej zrobić dla cywilów, dopóki tu są.

Odprowadził wzrokiem Rossa przeskakującego schody po dwa stopnie i po chwili ruszył korytarzem na poszukiwanie nieznośnej lekarki. Szpital, w rzeczy samej! Ten budynek liczy ponad sto lat i zapewne jest piekielnie niehigieniczny.

Popchnął pierwsze drzwi z prawej strony. Powitał go obwieszony obciążnikami, komicznie wyglądający starszy mężczyzna.

- Dzień dobry! - wesoło odezwał się chory. - Młoda pani Kirsten oświeciła mnie, że wojsko już wylądowało. Naprawdę myślicie, że wygracie tę wojnę z wodą?

- Czy proponowano panu ewakuację? - Harry zignorował słowa chorego. Nie mógł pozwolić sobie na banalne konwersacje. - Rozumiem, że wszyscy pacjenci po drugiej powodzi zostali przetransportowani do Veretonu?

- Ha, to był taki rządowy fortel - odparł mężczyzna. - Ale mnie nie mogli zabrać. Nie z tymi wszystkimi sznurkami i ciężarkami. Jeden wstrząs karetki i moja miednica rozsypałaby się w drobny mak.

Był najwyraźniej szczęśliwy z tego powodu. Zupełnie jakby pozostanie w odciętych przez powódź mieście było jakąś nagrodą. Harry'emu coś tu nie grało, ale teraz nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

- Gdzie znajdę doktor McPherson? - zapytał.

- Ostatnie drzwi na lewo. Kiedyś był to pokój, w którym zakonnice przyjmowały gości, ale Kirsten przekształciła go w biuro i sypialnię, żeby słyszeć wezwania pacjentów nawet w nocy. - Jakby na potwierdzenie swych słów, sięgnął po sznurek małego dzwonka. - Zawołam ją, jeśli pan chce.

- Nie, sam ją znajdę - zaprotestował Harry. Wolał kłócić się z nią bez świadków.

Uśmiechnął się do swych myśli. Dlaczego od razu spodziewał się kłótni?

- Nie potrzebuję eskorty, żeby przywieźć jedną ciężarną kobietę - oznajmiła, kiedy przemoczony major stanął w drzwiach, proponując, że pojedzie z nią.

- Trudno, ale chyba jest to nieuniknione. - Jego stanowczy ton bardziej ją zirytował niż rozkaz. - Jaki ma pani samochód?

- A co to ma do rzeczy? - odparowała. - Mam toyotę, jeżeli koniecznie musi pan wiedzieć. Zamoczy mi pan siedzenia.

Nie dodała, że w ciągu kilku ostatnich tygodni przewiozła tyle przemoczonych osób, że obicia siedzeń niemal kiełkowały. Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy i po chwili pograżyli się w strugach deszczu.

Nagle stanęła zaskoczona. Na placu przed klasztorem wznoszono właśnie namioty, które wyglądały jak olbrzymie muchomory, tyle że były bezbarwne i pokryte ochronną warstwą oleju. Uwijała się przy nich masa ludzi w specjalnych kombinezonach.

- Skąd oni wszyscy się tu wzięli? - zapytała zszokowana.

- Pod moim dowództwem są trzy plutony żołnierzy i posiłki w pogotowiu. Trzeba ich wszystkich zakwaterować i wyżywić.

Odwrócił się, by poinstruować jednego ze swoich podwładnych, po czym odezwał się do niej ponownie:

- Przygotowujemy się także do przeprowadzenia szybkiej ewakuacji pozostałych w tej okolicy osób. Dysponujemy wszystkim: opieką lekarską, stołówką, miejscem dla żołnierzy i cywilów, latrynami oraz zasobami wszelkich niezbędnych do przeżycia środków. Jesteśmy samowystarczalni.

Mówił sucho, jednak Kirsten wyczuła w jego głosie dumę ze świetnej organizacji jednostki.

- Wszyscy noszą dodatkowo impregnowane płaszcze przeciwdeszczowe - zauważyła, wskazując na pracujących żołnierzy. - Jakim sposobem pan się tak przemoczył?

Odpowiedział uśmiechem na jej uwagę i Kirsten uświadomiła sobie, że jest przystojny. A poza tym uśmiech nadał jego twarzy bardziej przyjazny wyraz.

- Ubrania przeciwdeszczowe mają chronić przed deszczem, a nie przed powodzią. Mieliśmy mały wypadek na pontonie. Niespodziewanie zderzyliśmy się z kłodą drzewa zanurzoną w wodzie.

- Wpadł pan do wody? Mam nadzieję, że nie ma pan żadnych zadrapań czy otarć. Ta woda jest pełna zarazków. Powinien pan przynajmniej zdjąć to przemoczone ubranie.

- Tu i teraz? - zapytał w błyskiem w oczach. Oblała się rumieńcem zupełnie jak nastolatka.

- Jeżeli to konieczne. Pełniłby pan służbę lepiej, gdyby bardziej pan dbał o zdrowie, zamiast bawić się w kurtuazję wobec mnie.

- Cóż, płacą mi za służbę na użytek mieszkańców Australii, a jak sądzę, pani do nich należy. Właściwie możemy pojechać moim land-roverem - zaproponował, wskazując ręką na masywny czterokołowy pojazd zaparkowany niedaleko jej niepozornego samochodu.

Umiejętnie zmienił temat. W dobrym momencie, ponieważ Kirsten czuła się zbyt zmęczona, by dalej się sprzeczać. Przez moment rozważała propozycję majora. Jeżeli pojedą jego samochodem, on poprowadzi. Po chwili jednak z zalem pokręciła głową.

- Nie, pański samochód jest zbyt wysoki i byłby niewygodny dla Cathy - stwierdziła, ruszając w stronę toyoty.

- Poprowadzę, pani wskaże drogę - oznajmił, przyspieszając kroku. Otworzył drzwi po stronie pasażera, zanim zdążyła zaprotestować.

Zawahała się. jakby jazda z tym mężczyzną niosła ze sobą jakieś nieokreślone zagrożenie.

- Niech pan posłucha - powiedziała, przechylając głowę tak, by patrzeć prosto w jego oczy. - Czy pana obowiązkiem nie jest raczej zabezpieczenie resztek tego miasta? Czy nie powinien pan teraz wypełniać worków z piaskiem, instruować podwładnych, wydawać rozkazy? Ja przewożę ludzi, odkąd ten koszmar się zaczął. Poradzę sobie i tym razem.

- Pojadę z panią - skwitował chłodno.

- Chce pan sprawdzić, czy Cathy rzeczywiście jest w ciąży? Czy mówię prawdę? Co to ma wspólnego z pańskim zadaniem?

Odetchnął ciężko i Kirsten przez chwilę poczuła do niego coś w rodzaju sympatii.

- To wbrew regulaminowi, żeby cywile wymagający opieki lekarskiej przebywali w strefie zagrożenia - mruknął.

Kirsten zapomniała o tym, że pada z nóg i tłumiąc śmiech, powiedziała:

- Wiem, że cała sytuacja wygląda nieciekawie, ale to nie wojna. Poza tym większość mieszkańców tej okolicy umie sobie radzić w ekstremalnych sytuacjach. Przywykli do tego.

Ich oczy spotkały się, tocząc swoistą walkę.

- Rozumiem, że życie tutaj nie jest łatwe, ale jeżeli nie przestanie się pani ze mną kłócić, to przybędzie pani pacjentów.

Zdezorientowana jego słowami, zajęła miejsce pasażera i poczekała, aż zamknie za nią drzwi. Ta odrobina kurtuazji sprawiła jej przyjemność. Oficer i dżentelmen?

Zerknęła na niego ukradkiem, gdy wsiadał do samochodu. Poczowała się nieswojo, zaskoczona dreszczem, jaki wstrząsnął leciutko jej ciałem, gdy taksowała go wzrokiem. Tymczasem on usadowił się wygodnie za kierownicą, przesuwał do tyłu fotel.

- Niech pan nie zapomni go potem przestawić - warknęła, zła na siebie za tę niespodziewaną reakcję ciała. - Nie dosięgnę pedałów.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, uruchamiając silnik.

- Nie musi się pani martwić o pozycję fotela. Odlatuje pani dziś po południu, a samochód zostaje tutaj.

- Nigdzie nie lecę - zachnęła się. - Nie, dopóki mam tu pacjentów, którzy mnie potrzebują.

- Pani pacjenci odlecą stąd także, jak tylko uda mi się sprowadzić helikoptery przystosowane do transportu medycznego - poinformował ją, przejeżdżając wolno obok namiotów, które stawiali jego ludzie.

- Sprawdza pan, czy nie brakuje im śledzi? - zapytała złośliwie, biorąc odwet za wcześniejszą dziecinną sprzeczkę.

Zignorował jej zaczepkę.

- Ma pani zabrać pacjentkę spod starej rzeźni?

- Tak. To jest... - zaczęła, ale on właśnie skręcił w lewo, kierując się w oznaczone miejsce. - Skąd pan wiedział, gdzie to jest, skoro dopiero pan tu przyjechał?

- Mamy mapy - odpowiedział - na których naniesione są wszystkie zabudowania, nawet te porzucone, oraz nie zamieszkane klasztory.

Przedostatnie słowo podkreślił wystarczająco mocno, by dać jej do zrozumienia, że kwestia jej obecności w tym budynku nie była wcześniej ustalona.

Trudno. Może rzeczywiście mają zaznaczony na mapach schemat miasta, ale kto jest w stanie oddać na tym schemacie specyficznego ducha danego miejsca! Wpatrywała się przez okno w znane już doskonale morze brunatnej wody. Poruszało się dzisiaj niemrawo, wirując wokół porzuconych, zalanych domów. Błoto i różnorodne przylegające do murów szczątki wskazywały, jak wysoko sięgnęła ostatnio woda, i Kirsten wzdrygnęła się na myśl o zbliżającej się kolejnej fali, która na północy zniszczyła już sześć miast.

- Rob przyplynie stamtąd - wskazała, próbując dojrzeć w strugach deszczu małą łódź, której farmer w lepszych czasach używał do połowów ryb.

- Będzie musiał płynąć bardzo wolno, uważając na kłody i inne dryfujące przedmioty - odparł jej szofer.

Okna w samochodzie zaparowały, więc otworzyła drzwi, kiedy zatrzymali się na skraju wału przeciwpowodziowego. Deszcz nie był już tak intensywny i Kirsten, poprzez bulgot wody, usłyszała warkot silnika łodzi.

Wysiadła z samochodu i podeszła do brzegu nasypu, gdzie Rob powinien zatrzymać łódź.

- Jak daleko stąd oni mieszkają? Czy nie wie pani, czym grożą takie podróże łódką w czasie powodzi? Przecież są tu wojskowe i cywilne helikoptery, którymi można ewakuować ludzi. Dlaczego wcześniej się pani z nimi nie skontaktowała?

- To nie była moja decyzja - przypomniała mu. - Poza tym większość helikopterów jest teraz na północy, gdzie fala już dotarła. Są tam bardziej potrzebne.

- Czyli przyznaje pani, że pani pacjentka nie potrzebuje natychmiastowej pomocy? Odwróciła się szybko w jego kierunku.

- Co to jest?! Przesłuchanie?! Gdzie są narzędzia tortur? Co, podłączy mnie pan pod elektrody, kiedy skończy się ta mała akcja ratunkowa? I mówiłam już, żeby zdjął pan ten przemoczony mundur! - dodała ostro, gdy major kichnął po raz kolejny.

ROZDZIAŁ DRUGI

Stłumił kichnięcie z obawy, że nieznośna lekarka znowu zwróci mu uwagę. W momencie, kiedy skierowano go do Murrawarry, wyczuł, że jest to jedno z tych miejsc, gdzie nic nie będzie przebiegać pomyślnie. Powinien zignorować wewnętrzny głos oskarżający go o tchórzostwo i wymigać się od tego zadania albo przekazać je komuś innemu.

Teraz już za późno. Pochylił się, żeby pochwycić dziób łodzi i wciągnąć ją na brzeg wału. Wojownicza pani doktor zabrnęła już po kolana w wodę, by podtrzymać ciężarną pasażerkę. Jej mąż przeskoczył burłę, pochylił się nad żoną i uniósł ją ostrożnie.

Harry zauważył wymianę spojrzeń między nimi i poczuł bolesne ukłucie zazdrości. Chciał im pomóc, jednak wiedział, że mężczyzna za nic w świecie nie odda swego cennego ciężaru.

- Opiekuj się nią, Kirsten - poprosił, kiedy już umieścił kobietę na tylnym siedzeniu toyoty.

- Nie martw się, Rob. Będziemy w kontakcie. Twój telefon działa, czy mamy łapać cię przez CB?

Harry powiódł wzrokiem po bezkresnym morzu brunatnej wody, zastanawiając się, czy jakkolwiek telefon może jeszcze działać.

- Z telefonem wszystko w porządku. Satelitarna technologia na coś się w końcu przydaje.

Nieznajomy czule ucałował żonę na pożegnanie, podziękował Harry'emu skinieniem dłoni i odpłynął.

- Nie mamy czasu żegnać podróżnych! - zawołała Kirsten do Harry'ego, siadając obok ciężarnej kobiety.

- Czy chce pani powiedzieć, że ona właśnie rodzi? - zapytał zaskoczony.

- Przecież dlatego tu jest - odparła sarkastycznie.

Miał ochotę się pokłócić, przypomnieć Kirsten, że nie powinno być tu żadnej kobiety, w ciąży czy nie, lekarki czy nie. Wszystkie miały być ewakuowane...

Głośny jęk ciężarnej kazał mu odłożyć sprzeczkę na później. Pospiesznie wsiadł do samochodu i ruszył do szpitala.

- Niech się pan zatrzyma przy bocznym wejściu i zatrąbi - rozkazała Kirsten. - Czy może pan pomóc Kenowi ułożyć Cathy na noszach? Tylko proszę na nią nie kichać.

Harry powstrzymał ripostę i podjechał możliwie najbliżej bocznego wejścia. Z tonu głosu Kirsten wywnioskował, że nie wszystko jest w porządku. Spojrzał na nią, gdy wysiadła z samochodu, i napięcie na jej twarzy potwierdziło jego domysły.

W drzwiach ukazał się wysoki mężczyzna, którego widział już wcześniej.

- Hej, Cathy! - zawołał radośnie. - Zamierzasz obniżyć koszty i urodzić małego na dworze, czy życzysz sobie pełny serwis, łącznie z jazdą na noszach?

- Wjeżdżamy do środka, ale najpierw zastanówcie się nad najlepszym sposobem wyniesienia jej z samochodu - rzekła Kirsten.

Ciężarna kobieta nadal kuliła się na tylnym siedzeniu i najwyraźniej cierpiała, jednak wydawała się doskonale panować nad całą sytuacją.

- Cathy - uspokajająco mówiła Kirsten. - Ta pozycja nie jest najwygodniejsza, ale przypuszczam, że z jakiegoś powodu pętla pępowiny zsunęła się na główkę dziecka. Próbuję utrzymać w niej ciśnienie, naciskając dłonią na twój brzuch, i wołałabym nie przerywać nawet podczas przenoszenia. Potem położę cię możliwie płasko, żeby grawitacja nie działała przeciwko nam. Myślisz, że możesz to wytrzymać?

Mówiła łagodnym tonem, ale mimo to Harry nie mógł powstrzymać panicznego bicia serca. Nie był położnikiem, lecz wiedział, że pępowina utrzymuje niemowlę przy

życiu. Coś jest nie tak. Nagle go olśniło. Logistyka! Zajmie się logistyką, bo w tym jest dobry.

- Wejdę z drugiej strony i uniosę Cathy pod ramiona - zasugerował Kenowi, który wyglądał na bardziej zdezorientowanego niż on. - Podtrzymasz jej nogi i jakoś sobie poradzimy. Dobrze?

- Możemy spróbować - rzekł Ken z powątpiewaniem. - Cathy, zrozumiałaś?

Odpowiedziała im milczeniem. Harry uznał więc, że miała wszystkiego dość i było jej obojętne, co się stanie, byle miała to już za sobą.

Harry wcisnął się do samochodu, usiłując podnieść Cathy za ramiona, i przekonał się, że jego plan logistyczny nie był taki dobry. Istny koszmar! W końcu udało im się jakimś sposobem wynieść kobietę z samochodu i umieścić na noszach.

- Cathy, połóż się na boku. Ken, podłóż, jej coś pod biodra. Potrzebujemy więcej poduszek. Niech pan skoczy po poduszki - poleciła majorowi. - Są w szafce. Drugie drzwi na lewo.

Nie zaprotestował, chociaż zaczął siąpić deszcz i wydawało mu się, że powinni przede wszystkim wwieźć Cathy do środka. Doktor McPherson jest zbyt stanowcza!

- Dobrze. Wjeżdżamy do środka - rozkazała Kirsten, kiedy Harry powrócił z poduszkami.

Odsunęła się od pacjentki i skrzyżowała ręce na piersiach tak, że dłonie schowała pod pachami. Harry zdołał jednak dostrzec jej zsiniałe palce. Pewnie zdrętwiały jej ręce od trzymania pacjentki. Zaciśnięte usta Kirsten powiedziały mu, że powrót krążenia był bardzo bolesny, ale nie wypowiedziała słowa skargi.

- Przygotowałem łóżko w pokoju obok Chippera, ale klasztorna aula jest wolna. Można z niej zrobić porodówkę - poinformował Kirsten, a potem zwrócił się do Cathy: - Przepraszam, że nie mamy świetnego sprzętu, ale został wymyty przez powódź. Zresztą jak większość rzeczy w mieście.

- Dopóki moje dziecko jest dzieckiem Murrawarry, nie mam nic przeciwko porodowi nawet na korytarzu - rzekła Cathy z uśmiechem, lecz po chwili skurcz bólu wykrzywił jej twarz.

- Jedziemy do auli - postanowiła Kirsten. - Kiedyś urzędowała tam matka przelozona, więc wybór miejsca jest jak najbardziej słuszny. W końcu Cathy też będzie matką.

Ton głosu wydawał się lekki, ale Harry wciąż widział napięcie na jej twarzy.

- Martwi się pani o nią? - zapytał. - Czy chce ją pani odtransportować helikopterem?

- Nie ma powodu do paniki. Z dzieckiem wszystko w porządku. Chciałabym, żeby urodziła sama, ale jeżeli tylko pępowina zagrozi życiu bądź zdrowiu dziecka, zrobię cesarskie cięcie. - Zmarszczyła brwi, jakby pomyślała o czymś innym, i dodała: - To normalna sytuacja. Statystycznie w jednym na czterysta porodów zdarzają się podobne powikłania. To, że Murrawarra jest pogrążona w wodzie, to zupełny przypadek.

- Więc dlaczego się pani tłumaczy? - dociekał Harry. - Czy dlatego, że nie powinna pani tu być? Każdy odpowiedzialny lekarz nalegałby na wcześniejszą ewakuację tej kobiety.

- Nalegał?! - warknęła. - Może rozkazywał? To nie moja metoda. Jeżeli się nie myślę, ludzie mają prawo samodzielnie podejmować decyzje i rozporządzać swoim życiem. Rob i Cathy mają dobytek, którym muszą się zająć - krowy i owce. Rob nie poradziłby sobie sam w tych okolicznościach. Czy naprawdę myśli pan, że Cathy została tutaj, żeby utrudniać nam życie albo denerwować wojsko? - Urażyła go ironicznym spojrzeniem i ciągnęła: - Tutaj kobiety pracują z mężczyznami, dzielą z nimi dobre i złe chwile, jakich ostatnio było niemało. I - dźgnęła go palcem w pierś - jeżeli uda im się przetrwać tę powódź, będą mieli od czego zacząć budować.

Odwróciła się i Harry usłyszał tylko złowrogie burknięcie:

- Chyba że nawiedzi nas plaga jakiejś szarańczy! Major zatrzymał się w korytarzu, analizując jej tyradę.

Czy życie tutaj jest naprawdę tak ciężkie, żeby kobieta w ciąży ryzykowała zdrowiem, aby pomóc mężowi ratować dobytek? Za tą myślą podążyła następna, ale tej nie chciał roztrząsać. Dotyczyła jego własnej drogi życiowej, kariery i udowodnienia czegoś za wszelką cenę.

Głośny jęk sprowadził go na ziemię. Przeraził się, że spotkanie w takich okolicznościach może w jakiś sposób związać go emocjonalnie z tą kobietą i z dzieckiem,

które ma się narodzić. Przecież mogło się to wydarzyć w każdym innym miejscu, więc dlaczego stoi tu i martwi się tym przypadkiem, zamiast dowodzić swoją kompanią?

Gdy w korytarzu pojawiła się Kirsten, zdenerwowany chwycił ją za ramię.

- Mogę zadzwonić po helikopter.

- Kobiety zazwyczaj krzyczą w czasie porodu - uspokoiła go. - Jeżeli nie może pan tego wytrzymać, to niech pan wyjdzie na dwór musztrować żołnierzy.

Zniknęła tak nagle, jak się pojawiła, i Harry chciał już ruszyć za nią, gdy nagle inny dźwięk zwrócił jego uwagę. W głównym wejściu zobaczył stłoczoną grupkę ludzi. Jakichś bardzo drobnych ludzi...

- Dzieci?

- Raczej małe diabliki - odparła nieznajoma kobieta, która próbowała je uciszyć, ale kiedy zaczęły jedno przez drugie przeproszać, hałas się tylko wzmógł.

- Cisz! - krzyknął Harry. Tym razem poskutkowało. Na półpiętrze stał James Ross.

- Czy może pan to wyjaśnić, poruczniku?

- Niestety nie, majorze - odparł zapytany, kiedy zszedł już na dół. - Cóż, to są dzieci i były na górze, to znaczy na poddaszu. Chyba się tam bawiły.

- Wystraszyliśmy go! - wykrzyknęła najstarsza dziewczynka.

- A przecież jest żołnierzem! - zakpiła inna.

- Potem on zaczął straszyć nas. - Mały chłopiec pokazał mu język i James ledwie się powstrzymał, aby nie odpowiedzieć w ten sam sposób.

Głosy, które słyszał Harry, były wesołe, choć trochę zbyt głośne. Bez wątplenia porucznik Ross bawił się z dziećmi.

- Wiecie, że nie wolno wam hałasować na dole - upomniała dzieci kobieta. - Idźcie do kuchni, to dam wam trochę ciasteczek do herbaty.

- O! Uwielbiamy twoje ciasteczka! - zapiszczała najstarsza, wpatrując się w nią przymilnie.

- Możemy zjeść je z kremem? - zapytała młodsza. Dzieci otoczyły kobietę, która objęła je i delikatnie przytuliła.

- Czy jest ich tam więcej? - Harry skierował pytanie do porucznika.

- Chyba nie, ale wcale bym się nie zdziwił. To miejsce jest jak klatka z królikami.

Dotąd znalazłem cztery. Całe poddasze jest urządzone jak plac zabaw.

- Dziwne, że pani doktor o niczym nie wspomniała - stwierdził Harry, lecz tajemniczy błysk w oczach młodego żołnierza uświadomił mu, dlaczego lekarka postanowiła nie informować go o tym fakcie. - Mieliśmy wyjątkowo męczący poranek - dodał i kichnął trzy razy, jakby dla podkreślenia swoich słów.

- Dalej ma pan na sobie te mokre rzeczy?

Kirsten pojawiła się w korytarzu i obdarzyła Jamesa promiennym uśmiechem.

- W kuchni czeka herbata i świeże bułeczki, jeśli ma pan prawo do małej przerwy. Przepraszam za dzieci, ale nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy. Są pełne energii i gnieźdzenie się tutaj jest dla nich trochę trudne..

- Jeżeli chodzi o dzieci... - zaczął Harry, ale dzwonek w korytarzu sprawił, że Kirsten znowu zniknęła.

- Cóż, herbata i bułeczki. To brzmi cudownie - rzekł radośnie James. - Położyłem pańskie rzeczy w pierwszym pokoju po lewej stronie, jeżeli zdecyduje się pan zmienić ubranie.

Harry z trudem powstrzymał ryk wściekłości i ruszył na górę. Nikt nie zaproponował mu herbaty i bułeczek.

- Świetnie sobie radzisz - Kirsten pochwaliła Cathy, która klęczała na łóżku z głową opartą o poduszkę. - Jeśli wytrzymasz w tej pozycji, poród przebiegnie naturalnie.

Cathy była podłączona do kroplówki. Serce dziecka biło prawidłowo. W tej sytuacji pozostawało tylko czekać. To dało Kirsten czas na przypomnienie sobie o najeździe wojska. Co za pomysł!

- Zadzwoń po mnie, jeżeli będę potrzebna - zwróciła się do Kena. - Zajrzę do pozostałych pacjentów, głównie do Chippera, który jest dzisiaj nienaturalnie ożywiony, więc będzie szukał okazji do głupich żartów.

- Nie martwiłbym się Chipperem - uspokoił ją Ken. - Szuka zaczepki, odkąd zamknęli szpital. Myślę, że obecność nadgorliwego majora trochę go rozbawi.

- On nie jest tu dla zabawy - upomniała pielęgniarka. - A już na pewno nie po to, żeby drażnić majora. Ten facet bardzo chce nas stąd usunąć i jestem przekonana, że to zrobi, jeśli go sprowokujemy.

Zostawiła Kena z Cathy i ruszyła do Chippera. Właśnie składał samoloty z papieru. Jeden przeleciał tuż przy jej głowie, kiedy weszła.

- Liczę na pokojowe układy z żołnierzami - powiedziała, chwytając w locie kolejny samolocik i odrzucając go do pacjenta. - I nie zachęcaj dzieciaków do żadnych psot. Nie żartuję, Chipper. Jak dotąd udało się nam zostać w szpitalu, ale jeśli rozjąttrzymy majora...

- Wypędzi nas bez zastanowienia - dokończył mężczyzna. - Też doszedłem do takich wniosków. Nie robi wrażenia przyjemnego faceta, ale ten drugi jest całkiem w porządku, chociaż też wygląda jak urodzony żołnierz.

- Nie sądzę, żeby to była jakaś wada - odparła, ukrywając śmiech. - I naprawdę tego się nie dziedzicy.

- Nie? - Chipper uniósł jedną brew.

Faktycznie, Harry wydawał się stworzony do wydawania rozkazów. Te oczy i twarz... Jej myśli zaczęły krążyć wokół postaci majora, kiedy ten we własnej osobie stanął w drzwiach, chwytając następny papierowy samolot.

- Szukałem pani.

- Więc mnie pan znalazł. Dobra robota - odrzekła ostro. - Poznał już pan pana Jonesa, znanego pod pseudonimem Chipper?

- Harry Graham - przedstawił się major, podając dłoń Chipperowi.

Kirsten pochwaliła go w duchu za pominięcie tym razem rangi przed nazwiskiem. Czasami ludzie mają obsesję na tym punkcie.

- Graham? Cóż, to dość popularne nazwisko, ale w tej okolicy cieszy się wielkim szacunkiem.

- Postaram się nie splamić tej opinii - obiecał major, składając samolot. - Moje nie są tak duże jak pana, ale na pewno będą szybsze - stwierdził, rzucając samolocik, który zawirował koło ucha Kirsten, nim upadł na podłogę.

- Zaraz się przekonamy, młodzieńcze! Zawody? Odległość dwadzieścia kroków.

- Zostawiam was, chłopcy. Nie przeszkadzajcie sobie w zabawie - rzuciła Kirsten na odchodnym.

Czuła się urażona. W końcu major przyszedł do niej, a zapomniał o tym, gdy tylko dostał do ręki papierową zabawkę. Poszła oczywiście do Cathy. Poród przebiegał prawidłowo, a Ken zapewniał kobiecie duchowe wsparcie, doskonale zastępując męża.

- Właściwie to dobrze, że nie ma tu Roba - stwierdziła Cathy w przerwie między skurczami. - Gdyby tu był, martwiłabym się o niego, a tak mogę skoncentrować się na sobie.

Wychodząc z prowizorycznej sali porodowej, Kirsten ponownie natknęła się na Harry'ego.

- Odłożyłem wyzwanie Chippera na inny dzień. Chciałem poprosić o oprowadzenie po klasztorze. Wspomniała pani o zapasach wody i generatorze. Powinienem wiedzieć dokładnie, co tu jest i kto tu jest. Muszę zorientować się, ile osób mamy ewakuować.

- Czyżby zmiana ubrania wpłynęła na pana nastawienie? - zapytała ironicznie. - Co się stało z tym żołnierzem oszalałym na punkcie natychmiastowej ewakuacji?

Zacisnął usta. Zrozumiała, że posunęła się za daleko. Nigdy nie potrafiła panować nad słowami.

- Byłem po prostu zaskoczony, znajdując tylu ludzi w budynku, który miał być opuszczony - wyjaśnił chłodno.

- I teraz zmienił pan zdanie? Zrozumiał pan, że nie powinien pan zakłócać im życia bardziej niż to konieczne?

- Kirsten nie dawała za wygraną. - A może ten obchód to część planu? Zamierza pan nas stąd usunąć siłą czy podstępem? Pewnie odpowiednie rozkazy już zostały wydane?

- Boże, uchronń mnie od kobiet! - wyjęczał Harry, unosząc dłonie ku górze tak, że delikatnie musnął jej włosy. - Przemoc czy podstęp? Przecież jesteśmy tu, żeby pomóc! Jeszcze to do pani nie dotarło? Mamy ocalić to, co zostało z tego miasta. To nie wojna...

Ostatnie słowa zagłuszył grzechot broni. Kirsten, której nerwy i tak były w strzępach, podskoczyła przestraszona. Harry chwycił ją za ramiona, próbując uspokoić. Ciepło jego dłoni rozlało się po jej ciele.

- To zabawka - mruknął. - Podejrzewam, że to sprawka dzieciaków. Wątpię, żeby ich obecność sprzyjała atmosferze szpitala, ale na pewno i na to ma pani jakieś dziwaczne wytłumaczenie.

Kirsten, która pomyślała o tym, jak dobrze było czuć jego dłonie na ramionach i jak cudownie byłoby mieć kogoś bliskiego, skinęła niepewnie głową.

- Wiedzą, że nie wolno im hałasować na dole, i zazwyczaj są posłuszne. To chyba wina Jamesa. Mogę się założyć, że znowu się z nimi bawi.

Groźny pomruk, jaki wydobył się z gardła majora, nie wróżył nic dobrego młodemu porucznikowi.

- Ich ojciec zmarł na raka sześć tygodni temu - wyjaśniła. - Matka została na farmie i usiłuje nad wszystkim zapanować. To dla niej ciężkie czasy.

- Więc pani zaadoptowała maluchy? To ma sens - skwitował odrobinę ironicznie, chociaż trudna sytuacja dzieci dotknęła go boleśnie.

- Nikt nie mógł się nimi teraz zająć. Elizabeth nie chciała wysłać ich do miasta, w obce środowisko. Jeszcze nie pogodziły się ze stratą ojca.

- Elizabeth? - powtórzył Harry, czując nagły chłód w sercu. To na pewno zbieg okoliczności, nic więcej.

- Ich matka. Ona też należy do rodziny Grahamów, o której wspominał Chipper, chociaż teraz nosi nazwisko Rogers, po mężu. Jej ojciec, a dziadek dzieci, też tu jest. Cierpi na rozedmę płuc. Uparty człowiek. Nigdy nie zgodziłby się na hospitalizację, ale w tych warunkach był tylko ciężarem dla Elizabeth. Pozwalamy mu myśleć, że jest tu, żeby pilnować wnuków.

On też tu jest... Te słowa odbiły się echem w umyśle Harry'ego. Uczucia, których dotąd nie znał, przyspieszyły bicie jego serca, w głowie zaczęła się galopada myśli. Nagle złość zrodzona ze strachu, niepewności i frustracji wzięła górę i doprowadziła go do wybuchu:

- Ci ludzie dawno powinni być ewakuowani!

Jego wściekłość nie wywarła pożądanego efektu. Wręcz przeciwnie, irytująca lekarka roześmiała się tylko. Ruch jej ust rozproszył jego uwagę do tego stopnia, że nie zauważył niebezpiecznego ognika w jej oczach.

- Znowu wracamy do tego samego? - zapytała groźnie. - Może powinien pan jeszcze raz zmienić ubranie? To już straciło swój zapas uprzejmości.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w pokoju Cathy. Wiedziała, że major nie pójdzie za nią.

ROZDZIAŁ TRZECI

Harry miał dwie możliwości - mógł samotnie zwiedzać klasztor lub poczekać na doktor McPherson. Właśnie odrzucił pierwszą opcję, kiedy w korytarzu pojawił się mały chłopiec.

- Proszę pana, czy wie pan, gdzie jest Kirsten? Muszę ją przeprosić za tę broń. Znalazłem ją w spiżarni i zapomniałem, że robi tyle hałasu. Dostałem ją od taty, jeszcze kiedy żył. To świetna broń. Nawet James powiedział, że jest dobra.

Piwnie oczy chłopca z niepokojem wpatrywały się w twarz Harry'ego, którego kontakt z dziećmi ograniczał się praktycznie do odgrywania roli Świętego Mikołaja na wojskowych zabawach choinkowych.

Przykucnął, aby zrównać się z malcem. Próbował odsunąć od siebie myśli, które krążyły mu po głowie.

- Pani doktor jest teraz zajęta, ale przekażę jej przeprosiny. A gdzie podziały się twoje siostry? Czy nie powinieneś się z nimi bawić?

- Są na górze. - Chłopiec westchnął smutno. - Zawsze musimy siedzieć na górze. Możemy tylko schodzić do dziadka. On lubi z nami rozmawiać, ale to go męczy. Zaczyna kaszleć i musimy wychodzić. Libby myśli, że on niedługo umrze, ale Bella nie pozwala jej tak mówić. - Brązowe oczy malca wypełniły się łzami. - Nie lubię, jak ludzie umierają - powiedział ochryple i dodał po chwili: - Proszę pana.

Harry poczuł ból w sercu.

- Masz rację, to nie jest zabawne, ale nie ma powodu, żeby zamartwiać się na zapas. Zwłaszcza teraz, kiedy jest tyle do zrobienia - pocieszał chłopca. - Wiesz, muszę coś sprawdzić w obozie. Chcesz pójść ze mną? Skocz tylko na górę i powiedz siostrom lub Belli, gdzie będziesz, a ja w tym czasie znajdę ci coś nieprzemakalnego. - Promienny uśmiech na twarzy chłopca bardzo go ucieszył. - Zbiórka przy wyjściu - powiedział, nadając głosowi wojskowy ton, choć gardło miał ściśnięte.

Zdecydowanie nie powinien był przyjeżdżać do Murrawarry! Ale rozkaz jest rozkazem, chociaż zapewne mógł znaleźć jakąś wymówkę... Pobiegnął na górę po pelerynę dla swojego małego towarzysza.

- Jest pan zły? Zrozumiem, jeśli pan zmienił zdanie - wybąkał chłopiec, kiedy Harry pojawił się przy wyjściu.

- Nie ma mowy - zapewnił. - Po prostu myślałem o czymś innym. Dobra, sprawdźmy, czy pasuje - rzucił wesoło, zawijając chłopca w pelerynę. - Jak masz na imię? - zapytał. - Ja jestem Harry i wolałbym, żeby moi przyjaciele tak się do mnie zwracali, a nie „proszę pana”.

Maluch z powagą uściśnął wyciągniętą dłoń żołnierza.

- Mam na imię Anthony. A moje siostry to Libby i Meg. Libby jest najstarsza, ale i tak Meg rządzi. Ma pan siostry? Są jak szkodniki, ale kiedy mamy nie ma, to pewnie lepiej mieć siostry niż nikogo.

Ufnie wsunął rękę w dłoń mężczyzny, nie czekając na odpowiedź. Na szczęście malcowi nie zamykały się usta i Harry miał czas na pozbieranie myśli. Na podwórzu chłopiec zaczął wypytywać o wojskowe pojazdy, a przyznać trzeba, że major nie znał się na tym najlepiej.

- O, nasz mechanik! - rzekł z ulgą na widok sierżanta. - Myślę, że znajdzie pan kogoś, kto pokaże temu młodzieńcowi nasze samochody? Siedzi cały czas w budynku i chyba przyda mu się mała rozrywka.

Jakkolwiek prośba wydała się Billowi Jordanowi trochę dziwna, miał dość wyczucia, by nie powiedzieć tego głośno.

- Coś da się zrobić - odparł wesoło, pochylając się nad dzieckiem. - Chodź ze mną, szkrabie.

Anthony spojrzał szybko na Harry'ego.

- Pójdzie pan z nami? - zapytał, zapominając, że miał mówić do niego po imieniu. Major zawahał się i niemal przystał na propozycję, jednak wiedział, że czeka na niego zbyt wiele spraw.

- Przykro mi, ale dołączę do was dopiero przed lunchem. Anthony przystał na ten kompromis i oddalił się z Billem.

Natomiast Harry postanowił zmusić w końcu oporną lekarkę do oprowadzenia go po klasztorze, chociaż myśl o spotkaniu tutaj nie wiadomo ilu osób przyprawiała go o mdłości. Przecież ewakuacja miała być przymusowa! Organizacja tego nie powinna być

trudna. Wystarczy zatelefonować na lotnisko i odtransportować ich do Veretonu. W kilka godzin sprawa byłaby załatwiona.

Zawrócił do budynku z zamiarem zrealizowania swego planu i znowu się zawahał. Nie, Cathy nie można stąd wywieźć. Chippera właściwie także. A co z dziećmi? Westchnął i zmienił kierunek marszu.

Kirsten sprawdziła, czy z Cathy wszystko w porządku, po czym kontynuowała obchód. Najpierw zajrzała do pana Curtisa. Przekonawszy się, że nie odczuł jeszcze w żaden sposób najazdu wojska, ruszyła dalej. Starannie pościelone łóżko stało puste. Pewnie pan Graham czuł się na tyle dobrze, że poszedł na górę do dzieci. W tym przekonaniu utwierdził ją brak podręcznego aparatu tlenowego.

Następny pokój należał do młodego Petera Phelps'a. Uparł się, by zostać i bronić miasta, co skończyło się małym wypadkiem. Teraz siedział przy oknie, wpatrując się w wojskowe namioty.

- Chciałbym tam być - wyznał tęsknie. - Zawsze marzyłem o tym, żeby się zaciągnąć, ale mama nigdy by mi nie pozwoliła. Wiesz, jaka ona jest. Tak bardzo chciała, żebym zgodził się na ewakuację.

- Martwi się o ciebie... - Kirsten próbowała usprawiedliwić nadopiekuńczość matki.

- Jeżeli dowie się, że jestem w szpitalu, to powie coś w stylu: „A nie mówiłam”, i zacznie mnie zamięczać.

Kirsten przyrzekła, że nie zdradzi niczego Marlene, ale znając jej zamiłowanie do plotek, mogła być pewna, że ta wiadomość też nie umknie jej uwadze.

- Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej - zapewnił, ale wypieki na policzkach zadały kłam jego słowom. - Głowa mnie już tak nie boli.

Kirsten przyjęła go do szpitala z wysoką temperaturą, potwornym bólem głowy i nudnościami. Podejrzewała jakąś infekcję, pewnie z otwartej rany. Wysłała próbki krwi do analizy i wykluczyła zapalenie opon mózgowych, ale gorączka nadal się utrzymywała. Prawdopodobnie było to więc groźne ukąszenie. Być może pająka.

- Jeżeli poprawi mi się do jutra, to będę mógł dołączyć do żołnierzy... - powiedział z nadzieją w głosie.

- Za dwa dni - obiecała.

- Chociaż właściwie nie jestem już potrzebny, odkąd wojsko się tu zjawilo - mruknął smutno.

Kirsten ośmieliła się w myślach poddać w wątpliwość przydatność żołnierzy w tym miejscu. Przynajmniej dla niej. Jednak Peterowi jakieś zajęcie pozwoliłoby odzyskać siły, nie czułby się zbędny. Mógłby na przykład odbierać telefony. Powinna porozmawiać o tym z Jamesem. Lepiej z nim niż z Harrym.

Gdy wróciła do Cathy, Mary właśnie zmieniła Kena.

- Poszedł coś zjeść, ale zaraz wraca - wyjaśniła młoda pielęgniarka. - Cathy za bardzo przyzwyczaiła się do jego nadzoru.

- Dzięki niemu czuję się jak w domu. Rob zawsze mówi mi, co mam robić, i Ken jest taki sam.

Kirsten pochwaliła Cathy za wytrwałość i poszła odszukać Kena.

- Już niedługo - poinformowała pielęgniarka.

- Co najmniej pół godziny, zanim się zacznie - odparł, a Kirsten nie zaprzeczyła, ufając niesamowitemu wyczuciu Kena w sprawach porodów. Był w tym znacznie lepszy niż ona.

Postanowiła więc zajrzeć jeszcze do Chippera. Zastała tam majora. Anthony siedział mu na kolanach.

- Celujemy w panią doktor! - wykrzyknął pacjent, nadal zabawiając się papierowymi samolotami.

- Bella kazała nam przynieść lunch Chipperowi - poinformował w tym samym czasie chłopiec.

- Bardzo dobrze, ale teraz powinieneś chyba wrócić do kuchni i też coś zjeść, zanim Bella się zdenerwuje - upomniała malucha. - Ja zabiorę majora na małą wycieczkę po szpitalu, której nie może się doczekać.

Przyjazny błysk w oczach Harry'ego, który zauważyła przed momentem, nagle przygasł i Kirsten pożałowała swej ironii.

- Pewnie nie ma pan wyjścia - zwrócił się Chipper do żołnierza. - Ona może jest niewielka, ale potrafi być ostra. Trzeba było widzieć jej starcie z miejscowym radnym, który miał czelność przywieźć tu na inspekcję ministra zdrowia.

Kirsten zaczerwieniła się delikatnie i Harry uświadomił sobie, jak wiele jest w niej kobiecości. Nawet kiedy miała na sobie bawełnianą bluzeczkę, džinsy i adidasy.

- Nie nalegam, jeżeli nie ma pan ochoty - zapewniła go, wyczuwając jego niechęć.

- Nie, nie! - Harry zdjął Anthony'ego z kolan, wstał i nawet usiłował się uśmiechnąć.

- Czyżby znowu przysłała pora na zmianę ubrania? - zakpiła. - Chyba nie powinnam pana męczyć, skoro był pan tak miły dla Anthony'ego? - Zawahała się i dodała: - No i chcę prosić pana o przysługę.

Harry wyczuł niebezpieczeństwo. Jej błękitne oczy potrafiły być czasami zbyt zniewalające. Zatrzymał się, by popatrzeć na nią uważniej.

- Przysługę?

Wzruszyła ramionami, ale wiedział, że to tylko kamuflaż.

- Najpierw pana komuś przedstawię. To młody pacjent, który gorączkuje i nie czuje się na tyle dobrze, żeby pracować fizycznie. Jednak bezczynność wpływa fatalnie na stan jego zdrowia. Poza tym on niemal wariuje na punkcie wojska. Gdyby znalazł mu pan jakieś zajęcie, tu w budynku...

Mógłby robić cokolwiek: odbierać telefony, zapisywać wiadomości albo chociaż liczyć spinacze do papieru. Ale lepiej będzie, jeśli pozna go pan osobiście - zawyrokowała, zanim Harry zdążył zaprotestować i wyjaśnić, że to wbrew regulaminowi angażować cywilów w pracę żołnierzy.

Po krótkiej wizycie major zdecydował, że chłopak wygląda całkiem rezolutnie, więc może naprawdę mógłby znaleźć mu jakąś pracę? Wojsko potrzebuje takich zapaleńców. Jednak nie powiedział tego głośno.

- Kolejna pacjentka to Moira Allison - głos Kirsten przerwał tok jego myśli. - Cierpi na stwardnienie rozsiane, co prowadzi do zaniku mięśni. Ten szpital od kilku lat jest jej domem, dlatego nie chciałam nadwierać jej kruchego zdrowia przymusową ewakuacją.

- Ale przecież już przeniosła ją pani tutaj z prawdziwego szpitala? - Harry wydawał się zdeterminowany, by usunąć ich wszystkich z tego miejsca. - Przyznaję, że dobrze to wszystko pani urządziła, ale i tak to nie jest szpital.

- To jest szpital - rzekła z naciskiem. - Budynek został nam ofiarowany z takim właśnie przeznaczeniem. Jeżeli tylko dostaniemy pieniądze z ubezpieczenia, stworzymy tu

nie tylko prawdziwy szpital, ale także Dom Spokojnej Starości dla najstarszych, samotnych mieszkańców miasta. Może uda się nam wybudować także oddzielne skrzydło dla personelu?

Jej słowa brzmiały stanowczo, ale niepewność w jej oczach przekonała go, że nie wszystko jest tak proste, jak to przedstawiła.

- Czy pieniądze z ubezpieczenia nie zostaną wypłacone rządowi? Czy to nie do nich należy ten budynek? - zapytał.

- Mogą sobie tak myśleć - burknęła - ale faktycznie szpital został zbudowany z inicjatywy Towarzystwa Kościelnego i początkowo nawet personel był opłacany z ich funduszków. Potem przejął go zarząd miasta i odtąd oni decydują o zatrudnieniu personelu i mianowaniu dyrektora.

- Ale wciąż są uzależnieni od rządu, od Ministerstwa Zdrowia - nie ustępował Harry.

- Częściowo - przyznała niechętnie i dodała ponuro: - W dużym stopniu.

W końcu przycisnął ją do muru i teraz mógł kpić do woli z jej planów odzyskania pieniędzy z ubezpieczenia. Jednak z jakiegoś powodu uzyskanie przewagi nad nią nie dało mu spodziewanej satysfakcji, więc zmienił temat.

- Chodźmy odwiedzić Moirę - zaproponował.

W pokoju znajdowały się dwie kobiety. Jedna była starsza i energiczna, druga wątła i osłabiona przez długotrwałą chorobę, która powoli gasiła jej urodę. Harry'emu zrobiło się niewymownie żal młodej pacjentki.

- Goście! Jak miło! - powitała ich z radością staruszka.

- To jest Moira Allison. - Kirsten wskazała na schorowaną dziewczynę. - I jej przyjaciółka, Peggy Riley. Peggy pomaga Belli w kuchni, ale bardzo często można ją znaleźć w pokoju Moiry. Twierdzi, że ma ten specyficzny dar i zawsze odgaduje, co Moira chce powiedzieć.

- I tak jest - zapewniła Peggy, mrugając do żołnierza. - W tym momencie Moira myśli o tym, że pojawił się w mieście kolejny przystojny mężczyzna. Zawsze miała dobre oko i potrafiła się podobać.

Moira uśmiechnęła się do Harry'ego. Chyba było dużo prawdy w słowach jej towarzyski. Kirsten w tym czasie zwróciła uwagę na niemal nie tknięty lunch.

- Musimy już iść - przypomniała Harry'emu. Uścisnął silną dłoń Peggy i kruchą, delikatną Moiry.

- Odwiedzę was jeszcze, jeżeli będę mógł - zapewnił, opuszczając pokój. - Co to za choroba? - zapytał na korytarzu, myśląc wciąż o ciężkim stanie zdrowia pacjentki.

- Stwardnienie rozsiane. Utrata mięśni może zacząć się w jakiegokolwiek części ciała, ale w tym przypadku chodzi głównie o ręce, ramiona, a potem kończyny dolne. Poza tym zanikają mięśnie, z których pracy ludzie nie zdają sobie sprawy: serca, żołądka czy języka.

Zrozumiała, że widok Moiry wstrząsnął Harrym i zastanawiała się, czy obchód po szpitalu to dobry pomysł.

- Ona jest właśnie na takim etapie?

- Tak.

- Ale przecież zawsze można coś zrobić - zaprotestował. - Kroplówka, witaminy w płynie. Cokolwiek!

- Wkrótce na to przejdziemy, ale nie ma wielkiej nadziei. Moira i tak wytrzymuje dłużej niż większość chorych. Bardzo pomaga jej wsparcie przyjaciół, głównie Peggy, która ją kąpie i karmi. Tacy właśnie są ludzie tutaj. Opiekują się sobą. Pewnie pan tego nie zrozumie, bo w wojsku wszystko regulują przepisy.

- Hej! Spokojnie! Nic takiego nie powiedziałem. Czy pani zawsze ma takie zapędy do kłótni?

- Tak. Pewnie ma pan rację - przyznała pokornie. - Chyba już zbyt długo walczę ze wszystkimi dookoła. - Zamilkła. Czy jego uprzejmość jest tylko nową taktyką? - Właściwie to pan zaczął pierwszy - przypomniała. - I pewnie nadal planuje pan usunięcie nas stąd. Strategia numer czterysta trzy: uśpić czujność przeciwnika, dając mu pozorne poczucie bezpieczeństwa.

- Wątpię, żeby udało mi się to z panią. - Znowu zaczyna się z nią drażnić! - Co się stało w tym mieście, że wszyscy podejrzewają jakąś intrygę? Dlaczego walczyacie z ministerstwem?

- To długa historia - westchnęła - a teraz nie mamy czasu. Musimy się pospieszyć, jeśli chce pan poznać innych pacjentów.

Harry naprawdę nie zamierzał przysparzać kłopotów tej drobnej kobiecie, która i tak wiele przeszła, dlatego powiedział:

- Mam wrażenie, że to nie jest odpowiednia pora. Może będzie pani mniej zajęta po kolacji?

Zatrzymała dłużej wzrok na twarzy majora, jakby próbowała rozszyfrować jego motywy.

- Dobrze - zgodziła się i dodała ze śmiechem: - Będzie pan mógł zrobić dokładny rachunek. Dziecko Cathy powinno już przyjść na świat.

Oddalił się, myśląc o mającym się narodzić maluchu i młodej kobiecie stojącej na progu śmierci. Nagle jego uwaga skupiła się na wspomnieniu zniewalających oczu Kirsten. Przyspieszony puls ostrzegł go, że nie może pozwalać sobie na tego typu dystrakcje. Poza tym tak piękna kobieta na pewno jest z kimś związana uczuciowo.

Powinien wrócić do pracy, zapomnieć o doktor McPherson i nie bratać się z mieszkańcami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Gdzie jest kapitan Woulfe? - zapytał Harry żołnierza pochylonego nad stosem papierów w jego biurze.

- Osobiście organizuje urząd pocztowy w budynku rady miejskiej - odrzekł podwładny. - Mam zadzwonić do niego?

- Nie, pojedę tam.

Żołnierz wybiegł z biura, prawdopodobnie po kierowcę Harry'ego, który jak zwykle migał się od obowiązków.

Major wyszedł na zewnątrz. Widok Anthony'ego wpatzonego w wojskowe ciężarówkę wcale go nie zdziwił. Umorusany mechanik tłumaczył chłopcu działanie pojazdów.

- Uważaj na słowa przy dzieciach, żołnierzu - upomniał Harry, choć była to bardziej sugestia niż nagana. - A ty, Anthony, nie podchodź za blisko. Spotkamy się później.

Malec w mgnieniu oka znalazł się przy Harrym.

- Widziałem, jak szukali pana samochodu. Mogę pojechać z panem? - prosił przymilnie. - Nikt nie pozwala mi chodzić do miasta, ale z panem będę bezpieczny, prawda?

Małe palce niepostrzeżenie wkradły się w dłoń majora.

- Myślę, że możesz - zgodził się, ignorując zdziwiony wzrok mechanika. - Ale masz wykonywać rozkazy. Kiedy powiem, że zostajesz w samochodzie, to tak ma być. Zrozumiano?

Ruszył do land-rovera i umieścił Anthony'ego na tylnym siedzeniu.

- Pasy! - krzyknął, by pokazać swą stanowczość.

Jazda z kierowcą umożliwiała mu rozejrzenie się po okolicy. Żołnierze wypełniali worki z piaskiem i układali je sprawnie wzdłuż wału przeciwpowodziowego. Kilku brnęło po kolana w wodzie, ciągnąc łódź o płaskim dnie, w której usadowiła się wygodnie otyła kobieta. Trzymała na kolanach klatkę na ptaki i pokrzykiwała na holujących ją mężczyzn. Podniesiony głos uciążliwej pasażerki zlewał się z wrzaskami papugi i Harry poczuł niemal wdzięczność, że musi znosić tylko oporną panią doktor.

- To pani Mathers i Białasek! - wykrzyknął z przejęciem chłopiec. - Ona powiedziała, że raczej zamiecie całą drogę stąd do południowej Australii, niż pozwoli się usunąć z domu. W czasie ostatniej powodzi sierżant zabrał ją do Veretonu, a ktoś wszedł do jej domu i ukradł wszystkie klejnoty.

Harry nie miał czasu na analizowanie słów Anthony'ego, ponieważ zbliżali się właśnie do oszczędzonego przez powódź, solidnie wyglądającego budynku. Nieopodal stała niebieska toyota pani doktor.

- Kirsten tu jest! - zapiszczał malec i wybiegł z samochodu, zanim major zdołał wydać jakikolwiek rozkaz. Na progu powstrzymał go stanowczy nakaz:

- Nie wchodź tu!

Cóż, Kirsten ma na niego zdecydowanie większy wpływ niż jakikolwiek żołnierz.

Wyłoniła się z zacienionego korytarza, ciągnąc kogoś za sobą.

- O! Pan major - powiedziała spokojnie. - Dobrze, że pan jest. Pański człowiek zranił nogę. Trzeba go stąd zabrać. Jeżeli mi pan pomoże, to zdołamy go unieść.

- Potrzebujemy noszy. Zaraz skontaktuję się z... - Teraz, majorze! - wykrzyknęła, kiedy za jej plecami

rozległ się złowróżbny huk.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony, pomagając jej wynieść na zewnątrz kapitana Woulfe'a.

- Sufit się zawalił. Ten budynek wygląda na pozór dobrze, ale z drugiej strony wszystko jest w gruzach. Nawet nie wiadomo, gdzie jest podłoga. Pański podwładny wyczołgał się jakimś sposobem, ale obawiam się, że jest tam uwięziony nasz burmistrz, Jim Thompson. Nie mam pojęcia, czy ktoś z nim był.

Ruszyła z powrotem w stronę wejścia do budynku, ale Harry chwycił ją za ramię.

- Najpierw musimy go zabezpieczyć. Czy kapitan coś powiedział? Jak się pani tu znalazła?

- Rozmawiałam z Jimem przez telefon, gdy nagle usłyszałam w słuchawce potężny trzask i przerwało połączenie. Przyjechałam najszybciej, jak mogłam, i znalazłam kapitana w korytarzu. Powinnam tam wrócić. Jestem mała i na pewno zdołam się przecisnąć.

- Zabraniam pani! - oświadczył, gdyż myśl o kobiecie narażającej się na takie niebezpieczeństwo zmroziła mu krew w żyłach. - Ma się pani zajmować pacjentami, więc niech pani to robi. - Zwrócił się do kierowcy: - Sprowadź wszystkich wolnych żołnierzy. Niech wezmą podnośniki hydrauliczne i wszystko, co przyda się przy umacnianiu tego budynku..

- Po drugiej stronie ulicy jest skład narzędziowy. Wiem, że są tam też belki - powiedziała Kirsten w momencie, gdy wojskowa karetka zatrzymała się przy nich z piskiem opon.

- Zabiorę go do szpitala i obejrzę nogę. Obiecuję, że jeżeli będą jakiegokolwiek komplikacje, odleci stąd helikopterem.

Już chciał zaprotestować i zapewnić, że jego ludzie poradzą sobie sami, kiedy dodała:

- Pojadę z kierowcą karetki i odeślę go zaraz z powrotem. Będzie pan potrzebował ludzi do pomocy.

Harry zgodził się z nią niechętnie. Rzeczywiście, jeżeli pod płytami betonu są jeszcze żywi ludzie, pomoc się przyda. Kirsten wróciła do rannego żołnierza.

- Ściana zwała mi się na nogę - wyjaśnił mężczyzna.

- Bardzo boli.

- Powinno. Jest złamana. A co z pana głową?

Pochyliła się nad pacjentem i szybko zbadała palcami jego czaszkę, szukając guzów lub wklęśnięć, które sugerowałyby uszkodzenie kości.

- Mogłem się uderzyć, kiedy upadłem na plecy, ale nic nie czuję. - Mówił wolno, starając się przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Nagle chwycił dłoń Kirsten. - Tam było jeszcze dwóch ludzi. Wyciągnęliście ich?

- Spokojnie. Pańscy koledzy już się nimi zaopiekowali - wyjaśniła, nie chcąc go niepotrzebnie denerwować. - Zawiozę pana do szpitala i zaraz wrócę do nich.

Modliła się w myślach, by jej słowa się sprawdziły.

- Niech pan przekaże majorowi, że pod gruzami są dwaj mężczyźni - zwróciła się do żołnierza, kiedy już zajęchali na miejsce. - A ty, Anthony, biegnij do środka i poproś Mary, żeby włączyła aparat rentgenowski. Później znajdź siostry i sprawdź, czy nakarmiły króliki.

Wiedziała, że jedyny sposób na to, by trzymać chłopca z daleka od szpitala, to dać mu jakieś zadanie. Właściwie nie miała pojęcia, co robił w mieście.

- Zawalił się budynek rady miejskiej - poinformowała pielęgniarkę, gdy umieścili już rannego na noszach.

- Nie do wiary! A taki był solidny.

- Dzieją się tu tak niewiarygodne rzeczy, że chyba nic mnie już nie zdziwi - stwierdziła ze smutkiem Kirsten.

Skupiła się na pacjencie.

- Dam panu środek przeciwbólowy, a potem prześwietlę nogę - odezwała się do żołnierza. - Będę musiała ją nastawić. Powtórzę prześwietlenie, żeby się upewnić, że wszystko w porządku, i nałożę gips. Trzydzieści minut i będzie mógł pan odpocząć. Poradzisz sobie? - zapytała pielęgniarkę. - Muszę zajrzeć do Cathy i przygotować sprzęt.

Zastanawiała się, czy nie powinna pozwolić go stąd zabrać. Noga była poważnie złamana. To coś, co na nią spadło, uszkodziło obie kości. Takie wypadki zdarzały się tu dość często, więc pewnie miała więcej doświadczenia niż niejeden lekarz w Veretonie.

- Nastawię ją - powiedziała do siebie, wchodząc do Cathy, która dyszała i przeklinała nieobecność męża. Poród dobiegał końca i kiedy maleństwo wydało pierwszy krzyk, Kirsten zapytała:

- Ken, jesteś pewien, że sobie poradzisz?

Znała odpowiedź. Ken uwielbiał położnictwo i miał więcej wyczucia niż niejeden matka.

- Nie zapomnij zadzwonić do Roba - przypomniała uszczęśliwionej Cathy i poszła przygotować gips.

Znowu zaczęła rozważać ewentualność przewiezienia pacjenta, kiedy porucznik Ross stanął w drzwiach.

- Major kazał przekazać, że będziemy odcięci od świata przez jakieś trzy godziny. Policja powiadomiła go właśnie, że ostatnia droga jest już nieprzejezdna, a nasze helikoptery są unieruchomione z braku paliwa.

Ostatnia wiadomość nie miała najmniejszego sensu, ale zrozumiała, że major dał jej pozwolenie na zajęcie się nogą jego podwładnego. Pomyślała o drugim uwięzionym człowieku...

Wróciła do swego pacjenta i znalazła go pogrążonego we śnie. Środki znieczulające zaczęły działać. Obejrzała zdjęcia rentgenowskie, które Mary zrobiła w czasie jej nieobecności. Nie było śladu uszkodzenia naczyń krwionośnych. Nastawiła złamaną kość i przewiozła żołnierza, żeby jeszcze raz prześwietlić nogę.

- W porządku - oznajmiła Mary, oglądając zdjęcie.

Kirsten przyjrzała mu się uważnie i potwierdziła zdanie pielęgniarki. Teraz trzeba tylko nałożyć gips. Kirsten nie lubiła tego robić i przez moment żałowała, że rannym nie zajęli się lekarze wojskowi.

Miała jeszcze trochę specjalnego syntetycznego materiału do usztywniania złamanych kończyn, termoplastyczne paski, które wysychały w trzydzieści minut. Były lekkie, wygodne i nie przepuszczały wody, tak że pacjent mógł brać w nich prysznic, a nawet pływać. Chociaż nie polecałaby kapitanowi żadnego pływania przez jakiś czas.

- Użyjesz tego drogiego materiału? - zapytała Mary, odgadując jej myśli.

- Tak. Wojsko zasługuje na najlepszą opiekę, ale taki gips zakłada się dużo trudniej i nie wiem, czy sobie poradzę.

- Musisz tylko pracować trochę szybciej, wtedy na pewno dasz radę.

Kirsten, podtrzymana na duchu przez pielęgniarkę, podjęła decyzję. Wyjaśniła żołnierzowi, który właśnie dochodził do siebie po narkozie, co zamierza robić. Mary wypełniła miskę z wodą i podłożyła plastikowe prześcieradło pod nogę pacjenta. Kirsten obłożyła kończynę gazą, a kolano dodatkowo specjalnymi poduszczkami, by zabezpieczyć opuchnięcie.

- Najważniejsze to pracować wewnętrzną stroną dłoni - powiedziała, biorąc od Mary pasek zmoczonego materiału.

- Palce mogą zostawiać wgłębienia, które potem będą uciskać skórę pacjenta.

- To sztuka, jaką chciałam opanować, kiedy zostałam pielęgniarką. Ale niestety, moje palce nie są tak sprawne.

- I tak jesteś świetną asystentką. Potrafisz robić kilka rzeczy naraz, a to się rzadko zdarza.

- Oj, nie musisz mi schlebiać. I tak postanowiłam tu zostać na czas powodzi. - Mary uśmiechnęła się do lekarki.

- Zrobiliśmy dobrze, zostając, prawda? - Kirsten musiała się upewnić.

- Major dał ci się we znaki? - spytała Mary domyślnie.

- Oczywiście, że dobrze zrobiliśmy. Major nie zdaje sobie sprawy, ile kłopotów im zaoszczędziliśmy. Gdyby nie było szpitala, ci wszyscy ludzie koczowaliby gdzieś na wzgórzu.

- Obmyjesz mu nogę? - zapytała Kirsten, gdy usztywniła już złamaną kończynę. - Przyślę Kena, żeby pomógł ci umieścić go w łóżku. Nie przykrywajcie go przez jakiś czas, niech gips dobrze zaschnie. I pogadajcie z nim, każcie mu coś opowiedzieć. Chcę się upewnić, że na pewno nie ma wstrząsu mózgu. Ja muszę wrócić do miasta, ale wezmę telefon komórkowy.

Mary uniosła ze zdziwieniem brwi, ale wiedziała, że jeśli Kirsten się uprze, nikt jej niczego nie wyperswaduje.

Na korytarzu Kirsten natknęła się na porucznika Rossa i poprosiła o podwiezienie na miejsce wypadku.

- Mam rozkaz zostać tutaj - odparł tonem zdradzającym znużenie.

- To zajmie tylko chwilę i obiecuję, że nikt w tym czasie nie ukradnie budynku ani nie zniszczy waszych tajnych dokumentów.

Żołnierz zaczerwienił się i skinął głową.

- Spotkamy się przy wyjściu, ale jeżeli major złośli mi skórę, to zrzuć całą winę na panią - rzekł ze śmiechem.

Niedługo potem Kirsten wsiadała do wojskowego land-rovera. Mżył nieprzyjemny kapuśniaczek i świat stał się smutny i szary. Wokół gmachu rady miejskiej, oświetlonego

specjalnymi lampami, panowało ożywienie. Żołnierze próbowali dostać się do uwięzionych ludzi przez dach.

Kirsten wysiadła z samochodu tak, żeby dowódca nie spostrzegł Jamesa, który natychmiast zawrócił do klasztoru.

- Mam nadzieję, że przyszła pani tylko po swój samochód - powiedział major, blokując jej drogę, gdy zbliżyła się do zniszczonego budynku.

- Możecie potrzebować mojej pomocy, kiedy wyciągniecie tych ludzi.

- Poradzimy sobie - odparł szorstko. - Co z Woulfe'em?

- Nastawiłam mu nogę. Odpoczywa - poinformowała lakonicznie. - Czy tamci dali jakikolwiek znak życia?

Potrząsnął smutnie głową i Kirsten zrobiło się go żal.

- Podłoga jest betonowa, strop także. Wątpię, żeby można było usłyszeć czyjeś wołanie.

- To był solidny budynek. Nie rozumiem, jak mógł się zawalić.

- Zapewne poprzednia powódź naruszyła fundamenty, a ta wymyła jeszcze trochę ziemi, i katastrofa gotowa - wyjaśnił Harry.

- Zupełnie jak domek z kart - mruknęła. Podszedł do nich młody żołnierz.

- Próbujemy dostać się do środka przez dach i zabezpieczyć wewnątrz podporami, ale zajmie to dużo czasu, bo nie wiemy, gdzie szukać - zameldował pospiesznie.

- A czy ktoś próbował dostać się do ludzi? - zapytał major.

- Tak, kapral Ford. - Podwładny pokiwał głową. - Jest najmniejszy, ale nawet on nie mógł precyzyjnie się wystarczająco daleko, żeby umieścić podnośnik w zawałonym korytarzu. Powiedział, że widział światło, co oznacza, że dalej powinna być otwarta przestrzeń.

- Co da ustawienie podnośnika? - dociekała Kirsten.

- Moglibyśmy podłączyć do niego wąż i podnieść ścianę za pomocą sprężonego powietrza.

- Ja mogę zanieść podnośnik - oznajmiła Kirsten.

- Wykluczone! - warknął zdenerwowany dowódca.

- Nie ma pan wyjścia - odparła ostro. - Jestem najmniejsza. Poza tym mogę zapewnić najlepszą pomoc rannym. Wezmę tylko apteczkę z samochodu.

Pobiegła, zanim zdążył ją powstrzymać, i wróciła po chwili z potrzebnym sprzętem medycznym.

- Jeżeli przymocuje mi pan tę linę do pasa, to dam panu znać, co jeszcze jest mi potrzebne, gdy już się tam dostanę - powiedziała, wskazując na leżący nieopodal sznur. - Przywiąże pan do niej tę torbę i aparat tlenowy, a ja wciągnę to do środka.

Brązowe oczy mężczyzny pociemniały ze złości.

- Nigdzie pani nie idzie!

- Proszę, niech mi pan pozwoli - rzekła błagalnie. - Tracimy tylko czas.

Zabezpieczyliście przecież to miejsce i ktoś musi tam wejść. Niech mi pan da ten podnośnik i miejmy to już za sobą.

Zawahał się i w końcu kiwnął głową, chociaż z wyrazu jego oczu wyczytała, że nie jest szczęśliwy z tego powodu. Sięgnęła szybko po sznur, aby nie miał czasu zmienić zdania, i wcisnęła go w dłonie Harry'ego. Po chwili pojawił się inny żołnierz, trzymający specjalną uprząż i pomarańczową linę.

- To jest lżejsze i mocniejsze - oznajmił Harry, podchodząc do niej i zapinając szelki na jej plecach.

Jego bliskość sparaliżowała ją i zdołała tylko wyjąkać:

- Mam wrażenie, że to może się rozpiąć.

- Wie pani, jakie ja mam wrażenie? Że ten cały plan weźmie w łeb - warknął przez zęby. Odsunął się i spojrzał jej uważnie w oczy. - W korytarzu ustawiliśmy żelazne podnośniki. Powinny wytrzymać, ale jeżeli usłyszysz pani jakikolwiek niepokojący dźwięk, proszę natychmiast wyjść.

Kirsten kiwnęła głową, mając nadzieję, że wygląda na bardziej pewną siebie, niż się czuje.

- I niech się pani nie waży iść dalej. Ustawi pani tylko podnośnik i w tył zwrot.

Zrozumiano?

Kirsten spojrzała na niego. Instynkt mówił jej, że uwięzieni mężczyźni bezzwłocznie potrzebują pomocy, ale jeśli wejdzie tam i przez to cały budynek zawali się im na głowy...

- Wrócę - obiecała niechętnie.

- Jestem pewien. Przecież mam panią na smyczy - rzucił żartobliwie, trzymając drugi koniec liny. - Chełm z lampą! - krzyknął do drugiego żołnierza i podszedł z nią do budynku. - Może być tam trochę ciemno - wyjaśnił.

Korytarz wyglądał na węższy niż się jej wydawało. Wciągnęła głęboko powietrze, wzięła podnośnik i weszła skulona do środka. Początkowo nie było źle, lecz później tunel stał się tak ciasny, że musiała położyć się na brzuchu i pchać podnośnik przed sobą. Było ciemno i cieszyła się, że miała lampkę, inaczej z pewnością by się poraniła. Jakiś metr dalej dostrzegła nagle światło.

- Jim, słyszysz mnie?! - krzyknęła. Odpowiedziała jej cisza.

- Niech pani umieści podnośnik i w tył zwrot! - usłyszała głos majora.

Rzeczywiście, nie była w stanie czołgać się dalej, więc posłusznie wykonała polecenie. Upewniła się, czy wąż jest dobrze umocowany, i zaczęła się powoli wycofywać. Harry wyciągnął ją bezceremonialnie na zewnątrz z ostatniego odcinka korytarza.

- Jak daleko zdołała pani dotrzeć?

Chciała mu odpowiedzieć, kiedy jej kolana zadrżały niebezpiecznie i pewnie by upadła, gdyby w porę jej nie podtrzymał.

- Reakcja - powiedziała niepewnie. - Nigdy nie myślałam, że to tak wygląda. Mówię o obniżeniu poziomu adrenaliny - wyjaśniła i uświadomiła sobie nagle, że mężczyzna wciąż trzyma ją w ramionach. - Już dobrze. Może mnie pan puścić. Nie przewrócę się.

Zwolnił uścisk, ale nie cofnął całkowicie dłoni.

- Siadać! - Wskazał na tylne siedzenie samochodu.

- Powinnam szczeekać czy salutować? - odcięła się Kirsten, ale podporządkowała się rozkazowi.

Ciekawe, czy trzęsie się dlatego, że przedzierała się przez tunel, czy dlatego, że Harry jest tak blisko?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Minęła kolejna godzina, zanim utorowano drogę do pomieszczenia, w którym najprawdopodobniej znajdowali się uwięzieni ludzie. Kirsten odzyskała już wewnętrzną równowagę i kiedy usłyszała radosne okrzyki, pospieszyła do budynku. Kilku mieszkańców dołączyło do akcji ratunkowej. Wśród nich rozpoznała miejscowego inżyniera. Jedno nazwisko mogła wykreślić z listy ewentualnych ofiar wypadku.

- Wejść do środka - zaproponowała Harry'emu.

- Na pewno dobrze się pani czuje? - zapytał. - Nie pozwoliłbym się pani tak narażać, ale moi ludzie rzeczywiście nie są w stanie przecisnąć się przez ten korytarz.

- Nic mi się nie stanie. Przecież zabezpieczyliście przejście. - Uśmiechnęła się, by rozwiązać jego obawy.

- Dam pani krótkofalówkę.

Żeby przekazać złą wiadomość, dokończyła w myślach. Brak odzewu ze strony zasypanych nie wróżył nic dobrego.

- To jest aluminiowa sonda - poinformował Harry, pokazując jej niewielki przyrząd.

- Rozkłada się na długość czterech metrów, więc może pani zbadać grunt, zanim postawi pani stopę.

Wcisnął ją w kieszeń kamizelki i zaczął zapinać pasek hełmu pod jej brodą. Stał tak blisko, że widziała dokładnie zarys ciemnego zarostu na jego opalanej skórze. Na szczęście był całkowicie pochłonięty swoim zadaniem, więc nie zauważył nienaturalnego drżenia, kiedy opuszkami palców muskał jej skórę.

- Proszę nie robić nic głupiego! - upomniął. - Jeśli przestrzeń za korytarzem wygląda niepewnie, to ma się pani natychmiast wycofać. Żadnych ryzykownych posunięć, rozumiano? Moi ludzie nadal próbują dostać się tam przez dach.

Spojrzał w jej oczy, jakby zamierzał coś jeszcze dodać, lecz tylko zdjął dłonie z jej ramion i skinął głową na pożegnanie. Po chwili znowu znalazła się w wąskim przejściu. Jednak podnośnik spełnił swoją rolę, gdyż tym razem dotarła do miejsca, w którym korytarz raptownie się urywał. Zapewne niżej był pokój, gdzie spodziewano się odnaleźć

rannych. Oświetliła miejsce małą lampką i dostrzegła ścianę, która przygniotła kapitana Woulfe'a, opartą na solidnym, drewnianym biurku burmistrza.

- Jim, słyszysz mnie?! Czy jest tam ktoś?!

Wołała na próżno. Wciągnęła powietrze, ale było w nim zbyt dużo kurzu, by wyczuć zapach krwi.

- Jestem w środku - przekazała przez krótkofalówkę. - Nie ma żadnego zagrożenia. Żadnych belek nade mną, jedynie dach. Widzę małą szczelinę. Postaram się wysunąć przez nią sondę. Jeżeli usuniecie dachówki w tym miejscu, to ktoś będzie mógł wejść górą.

- Dobra robota - usłyszała głos Harry'ego. - Ale niech pani nie robi nic nieodpowiedzialnego.

Co jej pozostało? Nie może teraz zawrócić. Modląc się, by podłoga była wystarczająco stabilna, zeskoczyła na dół. Brud i kurz, nie wspominając o pająkach, powiedziały jej, że wylądowała na zawałonym stropie. Stała jak najbliżej ściany, mając nadzieję, że Jim i ten drugi człowiek nie znajdują się gdzieś pod jej stopami.

- Wysuwam sondę, żeby wskazać wam miejsce - zawiadomiła. - Czy ktoś mógłby dać znak, jeśli ją zobaczy?

Po chwili ktoś krzykiem potwierdził, że jej wysiłek nie poszedł na marne. Ucieszyła się, że za chwilę przestanie być sama.

- Podchodzę do biurka, gdzie był uwięziony kapitan Woulfe. Być może oni są gdzieś za tą ścianą.

Uklękła, by dokładnie zbadać przestrzeń za uszkodzonym murem. Żadnego śladu zaginionych ludzi.

- Słyszysz mnie pani? - dobiegł ją zaniepokojony głos Harry'ego.

- Tak. Na razie wszystko dobrze - uspokoiła go.

- Usuwamy dachówki, żeby dostać się do środka. Proszę się usunąć na bok, żeby nie spadło pani na głowę.

Po kilku minutach zauważyła żołnierza spuszczonego się na linie przez powiększony otwór w dachu. Był to major Harry Graham we własnej osobie.

- Czy to nie wbrew regulaminowi, żeby dowódca brał na siebie całe zadanie? - zapytała, kiedy stanął przy niej.

- Główna zasada brzmi: „Nigdy nie każ komuś robić tego, czego sam byś nie zrobił”. Poza tym chciałem być z panią. - Uśmiechnął się wesoło, lecz szybko spoważniał i rozejrzał się dookoła. - Co za bałagan! Po nich ani śladu?

Kirsten potrząsnęła smutnie głową.

- Może są pod nami? - zasugerowała z powątpiewaniem. - Ale Jim Thompson jest dość roslym mężczyzną, a mam wrażenie, że strop leży płasko na podłodze. Pański człowiek

powiedział, że byli gdzieś przy szafkach, które znajdowały się w tamtym kącie - wskazała.

- Co jest poniżej? Piwnica?

- Nie mam pojęcia, ale na zewnątrz widziałam inżyniera. On powinien wiedzieć.

Harry wydał polecenie przez krótkofalówkę i po chwili usłyszeli czyjś głos:

- O ile wiem, nie ma tam piwnicy, ale często takie budynki stawiano na fundamentach poprzednich domów. Ten został wzniesiony w czterdziestym trzecim roku na miejscu dawnego ratusza, a tam mogło być podpiwniczenie.

- Wolałbym maksymalnie zmniejszyć obciążenie w tym miejscu - zwrócił się Harry do Kirsten. - Jeżeli wyciągniemy panią stąd na linie, to jakiś żołnierz zjechałby do mnie i razem podnieśliśmy tę naruszoną ścianę. Zgadza się pani?

Rozejrzała się po zniszczonym pomieszczeniu. Rzeczywiście, nie była w stanie mu w niczym pomóc.

- Ale zostanę tu. Ranni będą potrzebować lekarza.

Skinął głową, choć szansa odnalezienia ich przy życiu malała z każdą minutą.

- Niech pani stanie tutaj i chwyci mocno sznur. Poradzi sobie pani? - zapytał, kiedy żołnierze spuścili z dachu linę zakończoną hakiem.

- Chyba tak - odparła niepewnie, wyobrażając sobie, jak buja się na tej linie w powietrzu.

- Zrobimy inaczej. Ja stanę na haku, a pani na moich stopach - powiedział, widząc jej wahanie. - Bez obawy, nie pozwolę pani spaść. Niech się pani o mnie oprze całym ciałem i w górę!

Nie miała wyboru, zwłaszcza gdy mocne ramiona otoczyły ją ciasno. Ciepło ciała Harry'ego i jego siła sprawiły, że poczuła się niezwykle bezpiecznie.

Na zewnątrz powitały ich radosne okrzyki, ale szybko ucichły, gdy zrozumiano, że jeszcze nie znaleziono uwięzionych mężczyzn. Kirsten usiadła w swoim samochodzie, zastanawiając się, czy wracać do szpitala, czy czekać tutaj, kiedy podbiegły do niej Meg i Libby. Za nimi zamajaczyła jej sylwetka Anthony'ego.

- Nigdzie nie możemy znaleźć dziadka! Szukaliśmy wszędzie, ale nie ma go w szpitalu! - mówiły zdenerwowane.

Kirsten zamarła. Czyżby...?

- Na pewno nic mu się nie stało - powiedziała spokojnie, nie chcąc martwić dzieci. - Może czuł się na tyle dobrze, że poszedł na spacer. Wiecie, że nie lubi siedzieć w jednym miejscu.

Trzy główki skinęły potwierdzająco, a jednocześnie trzy pary oczu wpatrzyły się w nią pytająco, czekając na dalsze wyjaśnienia. Zauważyła, że maluchy są przemoczone. W pośpiechu zapomniały o pelerynach.

- Wskakujcie do samochodu. Odwiozę was do klasztoru. Bella zrobi wam gorącą czekoladę i będziecie mogli zostać z nią w kuchni, blisko telefonu. Zadzwoń, jak tylko znajdę waszego dziadka.

- Czy mamy zawiadomić mamę i powiedzieć jej, co się stało? - zapytała Meg.

- Nie. Po co ją martwić, skoro dziadek na pewno jest bezpieczny. Ale jeżeli płacze się gdzieś przy wałach na deszczu, to dam mu nauczkę! - rzuciła surowo i dzieciaki wybuchnęły głośnym śmiechem.

Zajechała przed klasztor, wepchnęła dzieci na górę, by się przebrały w suche ubrania, po czym zeszła do kuchni.

- Przepraszam, Bella, ale obiecałam im gorącą czekoladę i pozwoliłam zostać z tobą. Coś mi się wydaje, że ich dziadek to jeden z tych zagrzebanych w ratuszu... - rzekła smutno.

- Biedne maluchy, jakby jeszcze nie dość przeszły. Oczywiście, że zatrzymam je tutaj. Zrobimy razem ciasteczka, to im pozwoli nie myśleć o Martinie - odrzekła Bella, kładąc dłoń na ramieniu Kirsten. - Nie martw się o dzieci, i tak masz dużo na głowie. Zaraz zrobię ci coś do picia.

- Nie mam czasu. Musimy jak najszybciej się do nich dostać. Może jeszcze żyją...

Uścisnęła Belle, z potem zajrzała do kapitana Woulfe'a. Widocznie czuł się zdecydowanie lepiej, skoro mógł flirtować z Mary. Wpadła też do sekundy do Kena, by zostawić mu ostatnie instrukcje, i pospieszyła do miasta.

- Podnieśliśmy ścianę i strop - poinformował ją Harry, gdy dotarła do ratusza. - Teraz umacniamy podpiwniczenie od zewnątrz. Podłoga była naruszona w jednym miejscu i istnieje podejrzenie, że poleciecieli w dół przez tę wyrwę.

- Więc siedzą sobie w piwnicy i czekają na nas? - zapytała Kirsten. - Ale dlaczego się nie odzywali?

Harry nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ zawołał go jeden z żołnierzy. Kirsten ruszyła za nim.

- Chyba wiem, kim jest ten drugi człowiek - mówiła w biegu do majora. - To chyba Martin Graham, dziadek dzieciaków. Nie ma go w szpitalu. Pewnie poczuł się trochę lepiej i postanowił pomóc. Męczy go bezczynność.

Harry zatrzymał się raptownie i Kirsten zderzyła się z nim, tracąc równowagę. Znowu musiał ją podtrzymać.

- Dlaczego stary, chory człowiek miałby tak ryzykować? - zapytał ostro.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Myślała, że ucieszy go identyfikacja drugiego zaginionego.

- On po prostu ma taki charakter - wyjaśniła. - Murrawarra to jego miasto. Oczywiście, że próbowałby je ocalić.

- Próbuje zabić siebie?! - krzyknął z furją, po czym oddalił się bezceremonialnie.

Tym razem Kirsten nie podążyła za nim. Do licha! Może w końcu ją zawołać, jeżeli będzie mu potrzebna! Obrażona podeszła do wojskowej karetki. Była tak dobrze wyposażona, że chciała przyjrzeć się jej dokładniej.

- Jak się pani podoba? - zagadnął jeden z pielęgniarzy.

- Jest fantastyczna - powiedziała. - Naszą zabrali do Veretonu. Stwierdzili, że tam jest bardziej potrzebna.

- Biurokracja... - Żołnierz pokiwał głową.

Łoskot nadlatującego helikoptera uniemożliwił rozmowę.

- Macie z nim radiowy kontakt?! - wrzask majora przebił się przez wzmagający się hałas. - Powiedźcie, żeby się stąd wynosił! Niech wyląduje gdzieś przy klasztorze, ale nie za blisko namiotów, bo je powywraca!

Minęła dobra chwila, zanim helikopter odleciał.

- Idioci! - mruknął ze złością Harry.

Kirsten zadrzała, uświadamiając sobie, dlaczego Harry wpadł we wściekłość. Byli tak blisko uratowania uwięzionych ludzi, a tu nadlatuje helikopter! Najmniejszy wstrząs mógłby naruszyć delikatną równowagę budynku i zagrozić życiu wielu osób.

- Prawie się nam udało - rzekł Harry do Kirsten i skinął na pielęgniarza, który wyciągnął nosze i zaczął przygotowywać sprzęt reanimacyjny.

- Są tutaj! Żywi! - usłyszeli radosny krzyk.

Po kilku minutach żołnierze wynieśli pierwszego rannego, Martina Grahama.

- Niech się pani nim zajmie - rozkazał Harry. - Musimy wydostać drugiego. Jest nieprzytomny, ale oddycha.

- Czy z Jimem wszystko w porządku? Wyciągnęliście go? - dopytywał się Martin Graham, gdy Kirsten okryła go kocem.

- Tak, jest w dobrych rękach - zapewniła staruszka. Oparła go plecami o kamienną bryłę, by ułatwić mu oddychanie, i założyła maskę tlenową. - Wszystko będzie dobrze. Odpocznij. Zaraz zabierzemy was obu do szpitala.

- Skomplikowane złamanie kości udowej - oznajmił kierowca karetki, gdy przynieśli Jima. - I na pewno poważne obrażenia wewnętrzne. Pewnie przygniotła go jakaś szafka.

- Czy możecie zawieźć go prosto do helikoptera? - zapytała. - Chyba w Veretonie lepiej się nim zajmą. Wyjaśnijcie, że był uwięziony pod gruzami przez kilka godzin.

Zupełnie zapomniała, że jest dwóch rannych, a nie jeden.

- Powinnam przypomnieć im, żeby wrócili po ciebie - zwróciła się do Martina, uśmiechając się, aby dodać mu otuchy. - Czy możesz odpowiedzieć na kilka pytań? Czy coś cię boli? Jak upadłeś? Na plecy?

- Spadliśmy dość bezpiecznie. - Staruszek przesunął maskę, by móc odpowiedzieć. - Poszedłem do miasta tylko raz i to był błąd.

Kirsten wyczuła głęboki smutek w jego głosie i mocniej otuliła go kocem. Sprawdziła puls. Nierówny. Sięgnęła po swą torbę i wyjęła z niej sok w kartoniku. To nie był sprzęt medyczny, ale zazwyczaj zabierała go na wszelki wypadek.

- Wypij to - poleciła, wkładając słomkę w usta Martina. Jego organizm był bardzo odwodniony.

- Dlaczego on wciąż tu jest? - poderwał ją nagle z miejsca głos Harry'ego.

Napotkała groźny wzrok majora.

- Czekamy na powrót karetki, żeby zabrać go do szpitala, ale z pana pomocą mogłabym umieścić go w moim samochodzie.

- Pytam, dlaczego jeszcze jest w tym mieście?

- To jego dom - odparła cicho i ucieszyła się, że łoskot startującego helikoptera zagłuszył jej słowa.

Nie tylko się powtarzała, ale była również pewna, że ta odpowiedź nie usatysfakcjonuje majora. Nie zrozumie jej. Jednak nie usłyszała oczekiwanej riposty. Może w końcu coś do niego dotarło?

- Zawiozę go i pomogę wnieść do pokoju - powiedział.

Nie pozostawało jej nic innego, jak wsiąść do samochodu i pojechać za Harrym. W szpitalu podłączyła staruszkę do kroplówki, sprawdziła jeszcze raz puls i ciśnienie. Potem poprosiła o przygotowanie mu czegoś do jedzenia i zmęczona wróciła do swego biura.

- On powinien był stąd odlecieć - oświadczył Harry, stając w drzwiach.

- Chyba już o tym rozmawialiśmy? Nie zgodziłby się, nawet gdybym nalegała.

Rozkazy to pański sposób działania, ale gdzie są te wspaniałe helikoptery, które miały nas wszystkich stąd ewakuować? - zapytała ironicznie.

- Chwilowo są unieruchomione. Kłopoty z paliwem - wyjaśnił niechętnie.

Wybuchnęła śmiechem. Harry miał ochotę potrząsnąć nią mocno i... pocałować! Miała na sobie zabłoconą koszulkę, jej włosy poszarzały od kurzu. Jednak te zniewalające, błękitne oczy i te zaróżowione policzki...

- Kłopoty z paliwem - wykrztusiła, dusząc się od śmiechu. - Nie może się pan nas pozbyć, bo nie ma benzyny? Więc to tak wygląda wojskowa perfekcja?

Obrzucił ją pełnym złości spojrzeniem. Zdecydowanie powinien nią potrząsnąć, chociaż pocałunek też mógłby zadziałać...

- To nie tak, że nie mamy benzyny. Nie możemy jej po prostu użyć. Wszystko przez tę przeklętą powódź!

- Czyżby? - zakpiła.

- Jakieś mikroby z brudnej wody zanieczyściły ropę wydobywaną w tej okolicy. Niszczą paliwo, tworząc kleiste krople, które zatykają dopływ do silnika.

- I helikoptery spadają z nieba! Ale zabawne! - ironizowała. - Jak długo musicie usuwać te kleiste krople?

- Nie usuwamy ich, po prostu dostarczamy nowe paliwo. Zaraz pani zapyta, co dzieje się z tym zanieczyszczonym. Otóż nie mam zielonego pojęcia! Pewnie ktoś gdzieś je oczyszcza.

Kirsten roześmiała się jeszcze głośniej. Jej oczy rozświeciły się, co zupełnie zbiło Harry'ego z tropu.

- Więc niech im pan powie, żeby nie spieszyli się za bardzo z nowym paliwem, bo my nigdzie się nie wybieramy.

Cóż, to Harry wiedział doskonale. Chciał zadać jej jedno pytanie, ale dźwięk dzwonnka na korytarzu przerwał ich rozmowę.

- To Chipper. Czasami żałuję, że zamontowałam mu dzwonek - mruknęła, wybiegając z pokoju.

Harry został sam. O co chciał ją zapytać? Chyba o zamknięcie szpitala. Wyszedł do holu. Pokój Martina Grahama był tuż obok. Spojrzał w tamtym kierunku i poczuł, że serce zaczęło mu bić nerwowo. Postąpił krok do przodu i... zawahał się. Powinien dowodzić teraz swoją kompanią, a nie odwiedzać pacjentów. Zrobił drugi krok i... znowu przystanął.

Odgłos szybkich kroków dziecka zajął jego uwagę. Anthony pędził wprost na niego.

- Dziadek wrócił! - zawołał przejęty, chwytając majora za rękę. - Musi pan go poznać. Nie ma z kim porozmawiać, od kiedy tata odszedł, a Ken jest ciągle zajęty.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- O, nasi obrońcy! - Starszy mężczyzna powitał Harry'ego głosem ochryplym od emocji, po czym wskazał na Anthony'ego. - Nie pozwól temu szkrabowi plątać się pod nogami.

- Wcale się nie pętam! - zaprotestował chłopiec, sadowiąc się ostrożnie na skraju łóżka i wyciągając rękę, by pogładzić dziadka po policzku. - Znowu źle się czujesz?

Niepokój w pytaniu malca ścisnął Harry'emu serce.

- Wkrótce wydobrzeje, chłopcze. Oszczędź mi mówienia i lepiej opowiedz, co robiliście? - rzekł staruszek do wnuka.

- Może ja lepiej zdam relację z naszych działań? - zasugerował major. - Doktor McPherson wspomniała, że zna pan to miasto jak nikt inny. Nie musi pan mówić, wystarczy, że kiwnie pan głową, kiedy będę miał rację, i zaprzeczy, jeżeli się mylę. Przystudiowałem mapy konturowe, ale one nie są wystarczająco dokładne.

Harry odniósł wrażenie, że oczy mężczyzny pojaśniały na myśl o tym, że może w jakiś sposób pomóc przy ratowaniu miasta. Toteż zaczął wyjaśniać swe wątpliwości, lecz szybko przekonał się, iż same słowa nie wystarczą, więc zwrócił się do Anthony'ego:

- Na pewno masz gdzieś kartki i ołówki albo kredki. Czy mógłbyś je przynieść, żebym lepiej wytłumaczył twojemu dziadkowi, o co chodzi?

Anthony bez chwili zastanowienia wybiegł z pokoju, żeby spełnić prośbę.

- Dobry dzieciak - stwierdził Harry.

Martin Graham skinął głową i przesunął maskę tlenową, by móc swobodnie mówić.

- Właśnie dlatego powinienem pożyczyć jeszcze trochę - oświadczył, a potem dotknął dłoni majora. - Dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnęliście.

Starzec nałożył z powrotem maskę, zamknął oczy i zasnął. Harry pospiesznie opuścił pokój, chcąc zatrzymać Anthony'ego i nie pozwolić mu obudzić chorego.

- Pan wciąż tutaj? - spytała Kirsten, która właśnie pojawiła się w korytarzu.

- Właśnie wychodzę - wyjaśnił zmieszany. Wiedział, że nie powinien tu być, że sprawy osobiste lub też mały chłopiec nie mają prawa odrywać go od obowiązków. - Mogłaby pani powiedzieć Anthony'emu...

- Może pan sam to zrobić. - Wyciągnęła rękę w kierunku schodów. Anthony właśnie zjeżdżał po poręczy. - Ale najpierw dostanie ode mnie burę za nieposłuszeństwo.

Ostatnie słowa wypowiedziała w biegu, ale i tak nie zdążyła pochwycić chłopca, który, śmiejąc się, bezpiecznie wylądował na podłodze.

- Powinnam złożyć ci skórę, młodzieńcze! Wiesz, że nie wolno ci zjeżdżać po poręczy.

Mały winowajca popatrzył na nią rozbijając niewinnym wzrokiem.

- Ale ja się spieszyłem, żeby przynieść majorowi papier i kredki.

Kirsten zerknęła na rozrzucone po podłodze ołówki i usiłującego je pozbiierać majora.

- Nie jest za młody na rekruta? - spytała zaskoczona.

Harry uśmiechnął się ciepło, co przywołało w niej wspomnienie bliskości jego ciała. Nie było to wspomnienie nieprzyjemne.

- Może trochę. Już go zabieram. Anthony - zwrócił się do chłopca - twój dziadek zasnął. Porozmawiamy z nim później. Teraz jadę do miasta sprawdzić wały. Chcesz jechać ze mną?

Kirsten z trudem powstrzymała okrzyk zdziwienia. To na pewno wbrew regulaminowi zabierać ze sobą małego chłopca, ale Anthony tak się rozpromienił, że nie miała serca psuć mu zabawy. Widocznie Harry Graham nie był aż takim formalistą, na jakiego wyglądał.

Tego popołudnia już ich nie zobaczyła. Dowiedziała się później od Belli, że chłopiec po kolacji poszedł prosto do łóżka. Miał za sobą dzień pełen wrażeń.

O dziewiątej większość pacjentów spała. Nawet wrzaskliwa papuga nowo przybyłej pani Mathers już się uspokoiła. Tylko Joan Ryan, pielęgniarka, która dzieliła nocny dyżur z Kirsten, nadal była na nogach.

- Znowu papierkowa robota? - zagadnęła Kirsten kobietę wypełniającą stopy formularzy.

- Lubię to - zapewniła Joan - i lubię nocne zmiany, więc się nie martw.

Jednak powinna się temu sprzeciwić. Joan pełni nocny dyżur już od ponad dziesięciu dni. Nie miała ani jednego wolnego popołudnia. Zresztą, jak cały personel.

Wszyscy woleli pracować, niż wpatrywać się beczynnie w morze brunatnej wody i opuszczone domy.

Dobiegający z kuchni hałas zwiastował, że rozpoczęła się wspólna kolacja. Mała rozrywka przed zaszyciem się w celach klasztornych, które zastępowały ludziom dom. Czy ma do nich dołączyć? Zazwyczaj wpadała na chwilę rozmowy, ale dzisiaj, pod wpływem zmęczenia, skierowała kroki w przeciwną stronę - na podwórze. Musiała zaczerpnąć odrobiny świeżego powietrza.

- W końcu przestało padać - odezwał się Harry, który stał oparty o filar.
- To już coś - odparła, kryjąc zaskoczenie. - To wam ułatwi pracę.
- Ułatwi także przewiezienie pacjentów.

Uśmiechnęła się w ciemnościach do mężczyzny, którego głos stracił swą poprzednią stanowczość.

- Nie brzmi to już jak wyrok. Czy dlatego, że nie może pan zorganizować transportu? Problemy z paliwem? A może zmienił pan zdanie?

Nie odpowiedział. Kirsten badała wzrokiem jego ocieniony profil, ale nie zdołała niczego wyczytać.

- Dlaczego pozostanie tutaj jest dla pani tak ważne? - Zbliżył się do niej, delikatnie ujął za ramię i poprowadził w stronę starej drewnianej ławki. - Czyżby ewakuacja oznaczała dla pani zamknięcie szpitala?

Kirsten przeniosła wzrok z powierzchni wody osrebrzonej światłem księżyca na siedzącego obok mężczyznę.

- Chyba tak - przyznała szczerze. - Po drugiej powodzi departament zdrowia zdecydował, że nie opłaca się odbudowywać szpitala. Nie wiem, co pan wie o życiu małych miasteczek, ale zamknięcie szpitala to dla nich wyrok śmierci.

- Przecież do Veretonu jest stąd zaledwie godzina drogi. Wielu ludzi musi czasami dużo dłużej jechać do najbliższego szpitala.

Kirsten westchnęła. Ten argument słyszała ostatnio bardzo często, jednak nie przestał jej irytować.

- Oni tam na pewno mają jakiegoś lekarza w mieście, rentgen, terapeutów, specjalistów od medycyny naturalnej. Tutaj wszystko skoncentrowane jest w szpitalu.

- Walczy pani o swoją pracę?

Kirsten poderwała się rozdrażniona. Była przekonana, że im dalej odsunie się od niego, tym łatwiej będzie jej myśleć.

- Mogę znaleźć pracę wszędzie - zachnęła się - ale nie w Murrawarze, więc jedna osoba opuści miasto. Normalnie pracuje tu trzydziestu ludzi, a jeżeli dodać do tego ich rodziny, to zamknięcie szpitala bezpośrednio odczuje jakieś sto osób. Jeśli opuszczą miasto w poszukiwaniu pracy, zabiorą dwadzieścioro dzieci, a to oznacza brak pracy dla jednego nauczyciela.

- Efekt domino. Każda odchodząca rodzina zmniejsza zapotrzebowanie na usługi.

- Do tego dojdą ludzie wymagający stałej hospitalizacji - kontynuowała z bólem. - Starsi, którzy nie mogą podróżować, rodziny z chorymi dziećmi, osoby cierpiące na astmę czy epilepsję, cukrzycy...

- Nie możecie utrzymać szpitala bez rządowych pieniędzy, więc czy nie jest to przegrana walka?

- Sugeruje pan, żebyśmy tak zwyczajnie dali za wygraną?! Czekali z założonymi rękami, aż nas zniszczą?! - zawołała ze złością. - To w taki sposób wojsko planuje swoje kampanie? Czy naprawdę mówicie, że skoro nie wygracie tej konkretnej wojny, to nie będziecie walczyć?

- Hej! Spokojnie! - Harry chwycił ją mocno za ramiona. - Podejmujemy walkę, która wydaje się niemożliwa, ale dopiero wtedy, gdy opracujemy strategię i wyeliminujemy wszystko, co może działać przeciwko nam. Najpierw badamy przeciwnika, szacujemy jego siły i wyszukujemy słabe punkty. Potem opracowujemy plan, który zapewni nam powodzenie.

Światło księżyca delikatnie oświetlało twarz Harry'ego. Ciemne oczy z uwagą wpatrywały się w Kirsten. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to, co powiedział, było bardzo ważne. Jednak nie mogła się na tym skupić. Fizyczna bliskość Harry'ego wywoływała w niej zmieszanie. Cofnęła się o krok, usuwając się delikatnie spod jego dłoni. Wciągnęła głęboko powietrze. Nie, miłość nie rodzi się w taki sposób. To tylko zauroczenie. W końcu od tak dawna nie było przy niej żadnego mężczyzny...

- Powiedziała pani, że jeżeli zamkną szpital, to jedna osoba opuści Murrawarrę. Czy to znaczy, że nie ma pani rodziny?

Odwróciła się od niego, pragnąc uciec do swego pokoju, znaleźć jakieś schronienie. Nie! Nie będzie przed nim uciekać!

- Dlaczego?

- Co dlaczego? - zapytał skonfundowany.

- Dlaczego pan pyta o moje prywatne życie?

- A pytam? - Harry zmarszczył brwi. Wydawał się tak samo zakłopotany jak ona.

- Personel co wieczór je w kuchni kolację. Jeżeli pańscy ludzie chcą się przyłączyć, to zapraszam - powiedziała, zmieniając temat.

- Mamy stołówkę, ale może dobrze im zrobi odmiana. Spędzimy tu trochę czasu.

Minie miesiąc, zanim wody opadną.

Minie miesiąc... Te słowa odbiły się echem w umyśle Kirsten. Musiała przywołać się do porządku. Na szczęście gdzieś w budynku zadzwonił dzwonek.

- Grają moją piosenkę - rzuciła z udaną lekkością. - Pewnie Chipper. Zawsze zaplątuje się w te sznurki, kiedy zasypia.

Ruszyła do szpitala, chcąc uwolnić się od uciążliwego towarzysza, ale ten nie miał zamiaru jej opuścić.

- Jak Chipper złamał miednicę?

Kirsten zaśmiała się na wspomnienie wypadku pacjenta.

- Czy uwierzy pan w brawurowe ujeżdżanie? Chipper jest zawodowym kowbojem i któregoś dnia ten stary profesjonalista chciał nauczyć młodego kumpla, jak trzymać linę. Nowicjusz nie bardzo rozumiał tłumaczenie Chippera, więc ten wskoczył na byka i zaczął demonstrację. Ktoś otworzył wrota, byk wyrwał się do przodu i zrzucił go z grzbietu. Chipper był tak zaskoczony, że zapomniał się przytrzymać. Upadł nieszczęśliwie i skończyło się na złamaniu miednicy.

- Żałuję, że tego nie widziałem - wybąkał Harry, gdy opanował już wybuch śmiechu.

- Jak połowa miasta - odparła, wchodząc do pokoju pacjenta.

Przy jego łóżku stała Joan.

- To nie Chipper - wyjaśniła pielęgniarka. - Zadzwoniłam z tego pokoju, żeby nie martwić pana Grahama. Nie podoba mi się kolor jego twarzy i urywany oddech.

- To pewnie opóźniony szok - rzekła Kirsten. - Nie wspominając już o kurzu, jakiego się nawdychał. Dzięki, Joan. Zerknę na niego.

- Co z nim jest? - Major nadal nie odstępował *jej* na krok.

- Ma trwale uszkodzone pęcherzyki płucne, w których zachodzi wymiana gazowa. Podajemy mu tlen, ale oczyszczanie płuc z dwutlenku węgla sprawia kłopoty.

Zapukała delikatnie i popchnęła drzwi. Zsiniałe usta mężczyzny powiedziały jej wszystko.

- Nie jest dobrze, co? - zapytała łagodnym tonem. - Chciałabym podłączyć cię na noc do respiratora.

Staruszek skinął głową. Jego stan był ciężki, inaczej nie zgodziłby się.

- Do czego to służy? - Harry najwidoczniej zamierza włączyć się za nią przez całą noc!

- Wspomaga oddychanie. Zasadniczo radzi sobie bez tego, ale dziś... Mamy jeszcze jedno urządzenie, które działa czasowo. Wyłącza się, kiedy właściwe ciśnienie w płucach zostanie osiągnięte, pozwalając pacjentowi oddychać przez wentyl, ale używamy go tylko czasami, żeby oczyścić płuca. Dzisiejszy dzień bardzo go osłabił. Powinien zostać pod respiratorem.

- Dlaczego nie używa go cały czas?

- Czy w wojsku zawsze pytają o wszystko? - syknęła zniecierpliwiona. - Martin nie lubi być podłączony do respiratora ze względu na dzieci. Nie chce ich niepokoić.

- To głupie. Dzieci szybko się przystosowują.

- Tak? - odcięła się. - Czyżby wiedział to pan z własnego doświadczenia?

- Nie, nie mam dzieci, ale gdzieś o tym czytałem.

Próbowała zignorować uczucie ulgi, jaką sprawiły jej te słowa, i zająć się respiratorem.

- Zastosuję intubację dotchawiczną. Będzie ci tak wygodniej - poinformowała pacjenta. - Zostaniesz z nim, Joan? - zapytała pielęgniarkę. - Sprawdzaj drożność rurki co trzydzieści minut, ciśnienie krwi i ssanie w tchawicy. Za godzinę cię zmienię.

Kirsten ruszyła do swojego pokoju z zamiarem przeczytania jeszcze raz artykułu o wygodzie stosowania IPPB, czyli metody oddychania z przerywanym dodatnim ciśnieniem. Być może jutro wypróbuje jej działanie.

- Czy z nim wszystko będzie dobrze? - Szept za plecami spowodował paniczne bicie jej serca.

- Czy pan nigdy nie sypia? - cisnęła z furią. - A może, rezygnując z wywiezienia nas stąd, zdecydował się pan śmiertelnie nas wystraszyć?

Harry wyglądał na szczerze zaniepokojonego. Pewnie dlatego, że uczestniczył w akcji ratowania starszego mężczyzny, więc Kirsten ustąpiła.

- Niech pan wejdzie - powiedziała, otwierając drzwi - ale tym razem będzie pan musiał zapracować na informacje. Tam stoi czajnik. Proszę się obsłużyć. Dla mnie czarna kawa z dwiema kostkami cukru. Ja tymczasem muszę czegoś poszukać.

Kirsten bardzo szybko zaczęła żałować swej uprzejmości. Pokój służył jej za biuro, był jednak również sypialnią i obecność w nim mężczyzny burzyła ustalony porządek.

Przetrząsnęła stos przeczytanych do połowy fachowych magazynów, aż znalazła potrzebny artykuł. Usiadła przy stoliku, by przestudiować najnowsze doniesienia.

- Terapeutyczne działanie IPPB - wymamrotała pod nosem. - Do trzydziestu minut, cztery razy dziennie. Używać ustnika i zacisku na nozdrza, aby osiągnąć najlepszy rezultat.

- Kawa. - Niepewna ręka Harry'ego przysunęła filiżankę z parującym płynem. - Znalazła pani?

- Tak. Dzięki za kawę. Przepraszam, że pana tak traktuję, ale coś nie daje mi spokoju - rzekła, unosząc głowę znad gazety.

- Podzieli się pani tym ze mną? - zapytał z uśmiechem, sadowiąc się na brzegu biurka.

- Zamierzam wypróbować inną metodę inhalacji. Do tej pory Martin trafiał do szpitala tylko sporadycznie, z jakąś infekcją albo z podwyższonym poziomem dwutlenku węgla. Teraz, kiedy jest już hospitalizowany, zamierzam sprawdzić tę nową metodę. Zobaczymy, czy poprawi ogólny stan jego zdrowia.

- Biedny człowiek. Chciał tylko pomóc przy powodzi, a teraz zdany jest na pani łaskę.

Dosłyszała cień ironii w jego słowach. Nie, nie zamierza dłużej pozwolić mu się drażnić! Ale te oczy... Przymknęła powieki, by uwolnić się od ich zniewalającego uroku.

- Dlaczego tak bardzo interesuje się pan Martinem Grahamem? Czy dlatego, że nosi pan to samo nazwisko? A może jesteście spokrewnieni? Zakłada pan taką ewentualność?

- Interesuję się także Chipperem i Moirą - powiedział, marszcząc brwi.

- A kapitanem Woulfe'em? - Kirsten nie dawała za wygraną. - Wątpię, żeby pofatygował się pan do niego.

- Więc niewiele pani wie - odciął się gniewnie. - Siedziałem z nim przez pół godziny, zanim spotkaliśmy się na zewnątrz. Przyszła do niego młoda pielęgniarka, Mary, jeśli się nie mylę, więc nie chciałem im przeszkadzać.

- Hm... - wymamrotała, myśląc raczej o Mary i kapitanie niż o tłumaczeniu Harry'ego.

Umiejętnie zmienił temat i zapewne był przekonany, że zapomniała już o kwestii Martina. Zatrzymała dłużej wzrok na twarzy majora. Pomyślała, że może powinna mu to wszystko puścić w niepamięć... Ten człowiek wyjedzie stąd w ciągu miesiąca, może nawet wcześniej, jeżeli wody opadną szybciej...

- Skąd pan jest? - zapytała, chociaż bardziej interesowało ją to, dokąd pojedzie.

- Z Melbourne, ale obecnie mam kwaterę w Holdsworth w Nowej Południowej Walii - odpowiedział, zsuwając się z biurka, by przespacerować się po pokoju. Coś wyraźnie go niepokoiło.

- I wojsko jest całym pana życiem? Chce się pan doczekać medalu za długą służbę i przejść z honorami na zasłużoną emeryturę?

Zmarszczył brwi, jakby jej pytanie przerwało mu zupełnie nie związany z tym tematem ciąg myśli.

- Nie zastanawiałem się nad odejściem z wojska, ale zakładam taką możliwość. W specyficznych okolicznościach - dodał po chwili.

- Na przykład?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odparł powoli.

Czyżby nie był pewien prawdziwości swych słów?

Obserwował Kirsten, wysączającą ostatnie krople kawy. Wyczuł, że zamierza zaraz wyjść lub wyprosić go z pokoju, a tak bardzo pragnął, z nią porozmawiać. Zwierzyć się z dylematu, przed jakim stanął. Ale jak to zrobić?

- Wracam do Martina - oznajmiła, potwierdzając jego domysły.
- Dlaczego pani? - zapytał troskliwie.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, wesołe iskierki zabłyśły w jej oczach. Zatonął w błękicie zniewalającego spojrzenia i omal nie zapomniał, o co pytał.

- Bo chcę - odparła. - Kiedy jest pod respiratorem, trzeba zwilżać mu usta, sprawdzać ciśnienie krwi i dopilnować, żeby tuba była drożna. Zazwyczaj dzielimy się nocnymi zmianami, ale teraz, gdy brakuje personelu, muszę zwolnić Joan z dyżuru przy Martinie, żeby mogła zająć się innymi pacjentami.

Brzmiało to rozsądnie, ale przecież ona jest taka przemęczona!

- Czy nie można podać mu czegoś na sen? Myślałem, że to normalna procedura szpitalna?

- Tylko wtedy, kiedy chce się mieć kłopoty prawne. - W jej niebieskich oczach znowu pojawiły się iskierki. - W przypadku Martina środek nasenny jest zdecydowanie niewskazany. Nawet najbardziej łagodny może osłabić układ oddechowy.

Zdecydowanie niewskazany... Te słowa odbiły się echem w umyśle Harry'ego, jakby ostrzegając przed angażowaniem się w sprawy tego miasta, szpitala, pacjentów i... personelu.

Kirsten wstała z krzesła. Głową sięgała mu zaledwie do ramienia. Harry zauważył cienie pod jej oczami i nieoczekiwanie zaproponował:

- Mógłbym przy nim posiedzieć, jeżeli wytłumaczy mi pani, co mam robić.
- Jutro nie byłby pan w stanie dowodzić swoim oddziałem, a czeka pana trudniejsze zadanie niż mnie.

Uśmiechnęła się łagodnie, co przyprawiło go niemal o zawrót głowy. I zapragnął nagle odpowiedzieć na jej wcześniejsze pytanie o plany na przyszłość. Chciał wyjaśnić, że rzeczywiście wojsko jest całym jego życiem. Zapewnia stabilizację, jakiej nigdy nie miał. Wiedział, że brzmi to głupio, może patetycznie, ale dotąd się nad tym nie zastanawiał.

Kirsten czekała cierpliwie, aż major zrozumie, że czas wyjść, jednak on zaczął znowu marszowym krokiem przemierzać pokój.

- Muszę już iść - odezwała się z nadzieją, że tym razem zrozumie aluzję, ale on tylko skinął głową i nie przerywał marszu. Myślni był wyraźnie gdzie indziej.

Co niepokoi go tak bardzo, że nie jest w stanie usiedzieć w miejscu? - zapytała się w myślach, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz.

- Dobranoc - powiedział.

- Dobranoc. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale to nie jest pański pokój. Nie ma pan namiotu?

Popatrzył na nią tak zdziwiony, że zaśmiała się, widząc komiczny wyraz jego twarzy.

- Jestem trochę rozkojarzony - tłumaczył się niepewnie. - I nie śpię w namiocie - dodał. - Pozwoliła nam pani rozgościć się na pierwszym piętrze. Czyżby pamięć panią zawodziła? Choć właściwie nie ma wielkiej różnicy między celą zakonnicy a namiotem wojskowego.

Nie ma wielkiej różnicy, powtórzyła Kirsten. Czy mówił o żołnierskiej samotności? A może o czymś innym? Wróciła myślami do pytania o jej prywatne życie. Czyżby była to aluzja?

Uśmiechnęła się do swych niemądrych skojarzeń, wchodząc do pokoju Martina.

- Posiedzę przy nim - szepnęła do Joan, podnosząc kartę choroby zawieszoną na poręczy łóżka.

- Przyniosę ci coś gorącego do picia - obiecała pielęgniarka i bezszelestnie wysunęła się z pokoju.

Kirsten usiadła, wsłuchując się w oddech staruszka. Może teraz pomyśleć o ratowaniu szpitala. Niezwłocznie potrzebuje konkretnego planu działania.

Być może Harry Graham będzie mógł pomóc, jeżeli zostanie tu przez miesiąc...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego dnia o szóstej rano Martin Graham czuł się trochę lepiej, poziom wody podniósł się o kolejne sześćdziesiąt centymetrów, a deszcz znowu zaczął siąpić.

Po obchodzie Kirsten przekazała pieczę nad szpitalem Kenowi, a sama postanowiła się zdrzemnąć. Nastawiła budzik na ósmą, aby wypróbować działanie IPPB na Martinie Grahamie.

Obudziła się o czternastej trzydzięci. Godzinę sprawdziła na ręcznym zegarku, budzika nigdzie nie mogła znaleźć. Pędem wyskoczyła z łóżka, wrzuciła na siebie pierwsze z brzegu ubranie i wybiegła, żeby znaleźć Kena. Miała ochotę go zamordować.

- Uspokój się! - zawołał Ken na jej widok. - Podłączyłem aparat Martinowi o ósmej, a potem o dwunastej. Powiedziałas mi wczoraj, że taki jest plan.

- Zabrałeś mi budzik! - wykrztusiła z furją.

- Właściwie to nie ja. Wojsko go zabrało. To major chciał, żebyś pospała dłużej. Podejrzewał, że będziesz uparta i dobrowolnie się nie zgodzisz. Po wczorajszych przejściach zasłużyłaś na odpoczynek.

- On mi zabrał budzik?! Wszedł do pokoju i zabrał go?!

- Cóż, ja nie byłem do końca przekonany o słuszności tego posunięcia, więc Harry mnie wyręczył - wyjaśnił Ken z uśmiechem.

- Poczekaj tylko! Niech go dorwę! Co za bezczelność! - wykrzykiwała Kirsten, mijając Kena i pędząc dalej korytarzem. - Czy on myśli, że może zarządzać moim szpitalem? Ja mu...!

- Ja bym się tak bardzo nie spieszył - powiedział przymilnie Ken, chwytając ją za ramię. - Większość żołnierzy jest teraz na wałach, ale kilku wciąż kręci się w obozie.

Kirsten spojrzała na siebie. Poplamione džinsy i bluzka koloru khaki, która służyła jej za ścierkę do kurzu. W dodatku tak krzywo zapięta, że jedna pierś była niemal odsłonięta. Chyłkiem czmychnęła do swojego pokoju, znalazła porządniejszy strój i ruszyła do łazienki na piętrze. Traf chciał, że Harry Graham właśnie schodził ze schodów. Kurczowo przycisnęła do piersi ręcznik i ubranie na zmianę.

- Chcę później zamienić z panem słowo - warknęła.

Jej wściekłość wcale go nie uraziła. Miał nawet czelność się uśmiechnąć.

- W sprawie Petera? - zapytał niewinnie. - Wygrzebałem jakieś materiały dotyczące rekrutacji i dałem mu je do przeczytania.

Powinna nawrzeszczyć na niego za ten budzik, a jednocześnie podziękować za pamięć o Peterze. Rozbroił ją zupełnie i nie wiedziała, co powiedzieć. Major oddalił się, zanim zdołała cokolwiek z siebie wydusić. Nie natknęła się na niego ponownie w ciągu całego popołudnia.

W dzień przed dotarciem szczytowej fali powodziowej uzupełniała notatki w swym pokoju. Wszystko przebiegało pomyślnie. Stan zdrowia pana Grahama zdecydowanie się poprawił, Cathy i dziecko - mały Robert junior - wyglądali kwitnąco, Chipper zachowywał się normalnie, nawet Moira miała dobry dzień. Mimo to Kirsten była przygnębiona.

- To cisza przed burzą - powiedziała do Peggy, która stanęła w drzwiach z tacą z herbatą i kanapkami.

Bella przygotowała jej lunch, by nie musiała schodzić do kuchni.

- Nonsens - odrzekła Peggy. - Po prostu świetnie kierujesz szpitalem i dlatego wszystko tak dobrze się układa. Poza tym, odkąd wojsko jest tutaj, nie musisz już zamartwiać się o mieszkańców.

Kirsten podziękowała za posiłek, lecz nie podzielała opinii, że wojsko w jakiś cudowny sposób wpływało na pacjentów. Poza jednym. Dzisiejszego ranka zastała Petera Phelpsa siedzącego na łóżku i zajętego bynajmniej nie liczeniem spinaczy, ale zaznaczającego budynki wzdłuż głównej ulicy na konturowej mapie Murrawarry.

- Najpierw uporam się z tym, a potem jeszcze mam pokolorować posiadłości, w których są ludzie, tak żeby major wiedział, kto gdzie jest - poinformował Peter z dumą. - Kiedy dowódca opracuje plan ewakuacji, będę dzwonić w te miejsca i powiadamiać mieszkańców.

Brzmiało to logicznie, ale Harry na pewno mógł znaleźć kogoś odpowiedniejszego do tej pracy wśród swoich żołnierzy. Musiała przyznać mu punkty za współpracę z jej pacjentami. Szybko ich sobie zjednał.

Pozbywszy się zmartwień, Kirsten postanowiła zatelefonować do szpitala w Veretonie, by dowiedzieć się, czy Jim Thompson został dowieziony na operację. Po

rozmowie na temat samopoczucia innych pacjentów i mieszkańców Murrawarry chciała odłożyć słuchawkę, kiedy dyżurujący pielęgniarz dodał:

- Dyrektor ma do pani sprawę. Już łączę.

Serce Kirsten zamarło i mogłaby przysiąc, że w tym momencie niebo zasnuło się ciemnymi chmurami. Hal Burton spełniał w jej życiu rolę złowrózbnego cienia.

- Cześć, Hal! Co u ciebie? - zapytała z udaną radością, żałując, że nie jest tak dobra w strategii jak Harry Graham.

Po wzajemnej wymianie uprzejmości Hal przeszedł do sedna.

- Twoje roszczenie o przyznanie ubezpieczenia jest wbrew regulaminowi - oznajmił z irytującą beczelnością.

- Nonsens! - zaprzeczyła. - Zniszczony budynek należy do zarządu szpitala, więc mamy prawo domagać się ubezpieczenia.

- Od wielu lat jesteście pod nadzorem gminy - przypomniał jej.

- Tak, szpital tak, ale mówimy o budynku.

- Ten budynek jest przecież szpitalem. Bez niego szpital nie istnieje, a aktualnie nie macie pomieszczenia nadającego się na przychodnię.

Musiała zacisnąć zęby, żeby zapanować nad głosem.

- To jest idealne miejsce. Dużo lepsze niż poprzednie. I mówiłam ci już, że dla mnie szpital to nie tylko budynek, ale przede wszystkim opieka medyczna, jaką otacza się potrzebujących pacjentów, a takich tutaj mam.

Usłyszała ciche pukanie i drzwi uchylły się. Ukazała się w nich głowa Harry'ego.

- Jest pani zajęta? Przyjdę później - przeprosił major, ale

Kirsten uświadomiła sobie, że to dobra okazja i skinieniem ręki zaprosiła go do środka.

Przez swą chwilową nieuwagę nie dosłyszała słów Hala, ale była pewna, że by się jej nie spodobały, więc nie prosiła o powtórzenie. Usłyszała tylko:

- Zatem nie spodziewaj się przelewu pieniędzy!

- Muszę wypłacić pensje pracownikom! - zaprotestowała. - A pacjenci? Nie możesz tego zrobić!

- Czyżby? - powiedział i Kirsten wyobraziła sobie uśmiezek samozadowolenia na jego twarzy.

Rzuciła słuchawkę i wytarła spocone dłonie o spodnie.

- Drań! - warknęła, nie odrywając wzroku od telefonu, jakby jakimś cudem mógł przesłać tę obelgę Halowi Burtonowi.

- Kłopoty? - zagadnął Harry, sadowiac się na biurku.

- Czy pan nigdy nie ma nic do roboty?! - wycedziła. - A może wojsko tak świetnie radzi sobie bez dowódcy?

- Hej! Zaprosiła mnie pani - przypomniał jej.

Wyglądał na urażonego, ale przeczyło temu rozbawienie w jego oczach. Kirsten poczuła, że jej ciało reaguje na jego bliskość w znany jej doskonale sposób.

- Skoro już pan tu przyszedł... - rzekła z namysłem. - Ma pan chwilę?

Roześmiał się. Szczerze, głośno, zachwycająco...

- Zaraz. Najpierw oskarża mnie pani o beczynność, a teraz chce mnie pani odrywać od moich obowiązków? Zapewne znowu w sprawie wspierania w jakiś sposób pacjentów. Właśnie zająłem młodego Phelps'a.

- Tak, wiem i jestem bardzo wdzięczna - powiedziała, odsuwając fotel na bezpieczną odległość od Harry'ego. - Ale jest jeszcze coś, o co chciałabym zapytać. Mówił pan wczoraj o strategicznym myśleniu, o planowaniu i poznawaniu słabych stron przeciwnika.

- To już trzy rzeczy - wtrącił przekornie, ale w jego wzroku dostrzegła skupienie.

- Jak dotąd, walczymy o przetrwanie szpitala z dnia na dzień, ale ma pan rację, potrzebujemy planu działania. Musimy się zorganizować, tylko jak się do tego zabrać? Od czego zacząć?

Zmarszczył brwi, patrząc na nią z góry.

- Nie znam się na specyfice małych miasteczek. Ile tu osób decyduje o zamknięciu szpitala? Czy biorą pod uwagę oddalenie od najbliższego dużego ośrodka miejskiego? Zbyt wiele pytań. Nie wiem, jak mógłbym pani pomóc.

- Zna się pan na strategicznym myśleniu. - Kirsten nie dawała za wygraną, chociaż poczuła małe ukłucie zawodu. - A my potrzebujemy jakiejś strategii.

Uniosła głowę z nadzieją, że nieme błaganie w jej oczach pozwoli mu zapomnieć o tym, jak nieprzyjemnie potrafiła go traktować.

- Muszę to przemyśleć. Zwłaszcza niespodziewaną zmianę nastawienia pewnej pani doktor. Tak nagle przejście od wyraźnej niechęci do przyjaźni jest co najmniej zaskakujące - rzucił odrobinę ironicznie.

Nie zapomniał... Przygryzła wargi, żeby znowu czegoś nie palnąć.

- Sytuacja jest trochę zagmatwana - usprawiedliwiała się najspokojniej, jak potrafiła.

Chochlik w oczach Harry'ego powiedział jej, że nie będzie miała łatwo.

- Zauważyłem. Jednak dostrzegam w tym dużo pani winy. Czy nie mam racji? Gdyby nie stawiała pani oporu przy ewakuacji...

- Wiedziałam, że wróci pan do tego! - zakipiała ze złości, rezygnując z bycia miłą. - Po prostu musiał pan powiedzieć coś w stylu: „A nie mówiłem”!

Jeszcze raz jego śmiech rozbrzmiał echem w pokoju.

- Zastanawiałem się, jak długo pani wytrzyma - zakpił. - Naśmiewała się pani ze mnie i mówiła, że zmiana ubrania wpływa korzystnie na mój humor. Może czas, żeby pani włożyła na siebie coś bardziej komfortowego?

Chociaż nie była to krytyka jej stroju, to i tak poczuła się zażenowana. Harry zauważył wypieki na jej policzkach i zrozumiał swoją gafę. Było mu przykro, że wprowadził ją w zakłopotanie, i nie miał pojęcia, jak wyplątać się z tego bałaganu. A miał to być niewinny żart!

- Pomyślę o tym - rzekł, wstając. Żałował, że nie może cofnąć swoich słów. - Wpadnę do pani później.

Ruszył w kierunku drzwi i dopiero teraz przypomniał sobie o celu swej wizyty.

- Jak się czuje pan Graham? - zapytał. - Czy noc pod respiratorem mu pomogła? A może mógłbym... - Urwał. Nie zamierzał prosić o pozwolenie widzenia się ze starszym człowiekiem, chociaż chciał z nim porozmawiać, dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- Czy mógłby pan co? - Kirsten najwyraźniej odzyskała spokój, bo mierzyła go teraz ostrym, pytającym wzrokiem.

- Wpaść do niego od czasu do czasu... - wyjaśnił Harry, i po chwili namysłu dodał: - Anthony mówił, że dziadek lubi męskie towarzystwo.

- Podłączam go do aparatu oddechowego co cztery godziny, to znaczy o czwartej i o ósmej. Myślę, że o każdej innej porze powita pana z radością, jeżeli nie będzie spał.

Kirsten wydała się mu trochę rozkojarzona. Harry miał nadzieję, że myśli o zdrowiu pacjenta, a nie o jego nagłym zainteresowaniu Martinem Grahamem. Jednak wiedział, że i tak przed podjęciem decyzji będzie musiał z nią porozmawiać.

Kirsten odprowadziła go wzrokiem, powtarzając sobie, że musi w końcu przestać reagować w taki sposób na jego uwagi i nie tracić zmysłów, kiedy tylko znajdzie się w pobliżu. Dalsza część dnia minęła tak spokojnie, że późnym popołudniem, kiedy deszcz zelżał, a zza chmur przebiły się delikatne promienie słońca, Kirsten zaproponowała dzieciom spacer do miasta, gdzie mężczyźni wciąż pracowali przy wałach.

- Mama mówi, że na farmie poziom wody jest wyższy - powiedziała Libby. - Zabrała kurczaki do domu, chociaż dziadek powtarza, że woda nie dosięgnie kurnika.

- Mam nadzieję, że z Bessie jest wszystko w porządku. Z Mydełkiem i Bąblem też - dodała Meg, martwiąc się o kota i psy, które zostały na farmie.

- Na pewno - zapewnił ją Anthony. - Mydełko i Bąbel pływają lepiej niż ja, a Bessie pewnie wejdzie na dach.

- Ale mama nie wejdzie na dach - zmartwiła się Libby. Dziewczynka dostrzegała wyłącznie ciemne strony sytuacji.

- Zabierzemy ją stamtąd, jeżeli będzie naprawdę niebezpiecznie - uspokajała Kirsten. - Żołnierze potrafią powiedzieć dokładnie, jak wysoka będzie nadchodząca fala i określić niebezpieczeństwo.

- Czy mama może zabrać ze sobą kota i psy? - zapytał Anthony. - I kurczaki?

Oficjalnie wojsko odpowiadało za bezpieczeństwo miejscowej ludności, lecz Kirsten nie wiedziała, jak Harry zareaguje na wiadomość o konieczności ewakuacji kobiety, dwóch psów i kota oraz stada kurczaków.

- Woda na pewno nie zaleje całego domu, więc kurczaki będą mogły zostać na dachu - powiedziała.

Wyjaśnienie zadowoliło dzieci, które zainteresowały się, jak długo jeszcze nie będą chodzić do szkoły. Wszyscy zatrzymali się przy zalanej głównej części miasta i patrzyli na zniszczone budynki szkolne, kiedy Meg pociągnęła ją za rękę.

- Patrz! Ktoś jest w wodzie! - zawołała Meg.

Po drugiej stronie ulicy wybuchła panika. Ktoś krzyczał, ktoś inny wydawał rozkazy. Minęła chwila, zanim Kirsten zorientowała się, o co chodzi. Woda naruszyła wał i pech chciał, że część robotników wpadła do wody.

- Zostańcie tu! - rozkazała dzieciom. - Libby, przejmujesz dowództwo.

Niektórzy z mężczyzn zdołali uchwycić się drzew i kurczowo się ich trzymając, czekali na ratunek. Kirsten zauważyła ciało unoszone przez wodę tak lekko i bezwładnie, że uznała, iż człowiek ten może być albo nieprzytomny, albo martwy. Poczekała na moment, kiedy mężczyzna będzie bliżej brzegu, i wskoczyła do wody, lecz fale odrzuciły rannego w inną stronę. Z tyłu dochodził ją dźwięk silnika łodzi, która zabierała rozbitków trzymających się drzew, ale do tego człowieka łódź mogła dotrzeć za późno...

Kirsten szybkimi ruchami ramion przecinała wodę. Była już blisko niego, bardzo blisko. Wzięła głęboki wdech i zanurkowała, dopóki nie poczuła w palcach ubrania mężczyzny. Nareszcie! Próbowała odnaleźć grunt pod nogami. Na próżno. Znajdowali się teraz ponad główną ulicą i tylko słupy telegraficzne wystawały nad poziom wody.

Chwyciła mężczyznę mocno pod ramiona i uniosła jego głowę. Był to porucznik James Ross. Twarz miał trupio bladą, z rozciętego łuku brwiowego płynęła krew. Nie była pewna, czy oddycha, więc na wszelki wypadek wdmuchnęła trzy razy powietrze w jego płuca. Jednocześnie desperacko próbowała utrzymać jego i swoje ciało na powierzchni.

Trzymając go kurczowo, czekała na okazję uchwycenia się najbliższego słupa. Szczęśliwie woda rzuciła ich wystarczająco blisko. Kirsten wyciągnęła rękę i poczuła bolesne uderzenie. Wiry wodne odrywały ich od słupa, a niesione przez powódź przedmioty smagały ciała. Nie zwracała na to uwagi.

- Muszę cię przerzucić przez poprzeczkę - odezwała się do nieprzytomnego mężczyzny. - Trzymaj się!

Zanurkowała, próbując wykorzystać parcie wody i unieść ciało żołnierza. Z wielkim trudem zdołała ostatecznie podźwignąć je i przewiesić na poprzecznym drażku słupa.

Uderzenie uruchomiło przeponę, która umożliwiła odblokowanie płuc. James zaczął kaszleć. W ciągu minuty wypluł z siebie kilka litrów brudnej wody wraz z innymi resztkami, zapewne lunchu.

- Nie ruszaj się. Ktoś zaraz tu przyplynie - uspokajała go. - Wystraszyłeś mnie. Myślałam, że nie żyjesz.

Mężczyzna jęknął boleśnie i wybełkotał coś o tym, że czuje się jak nieżywy, ale Kirsten była już spokojna, że przynajmniej oddycha samodzielnie. Trzymała go nadal mocno, gdyż wiry wodne wsysały ich ciała, pragnąc je pochłonąć.

Żołnierze musieli już zauważyć brak porucznika Rossa.

Na pewno za moment ktoś się tu pojawi, pocieszała się w myślach. Jednak odgłosy łodzi zdawały się oddalać.

- Odwożę wyłowionych na brzeg - powiedziała do Jamesa, przyciskając przemoczoną chusteczkę do rany na jego czole.

Wsluchiwała się w odgłosy silnika łodzi, która powinna przyplłynąć po nich. Na próżno. Cisza.

- Przecież muszą tu wrócić - powiedziała głośno, by dodać sobie otuchy, ale minęło jakieś pół godziny, nim usłyszała zbawienny dźwięk motoru. Pół godziny! W tym czasie ramiona zdrętwiały jej zupełnie, a James kilkakrotnie stracił przytomność.

- Czy pani przysięgła, że będzie nam sprawiać kłopoty?

Kirsten z taką ulgą powitała widok łodzi, że zignorowała złośliwą uwagę Harry'ego.

- On jest nieprzytomny. Jeżeli podpłyniecie z drugiej strony, to go po prostu puszczyć, a wy go złapiecie. Dobrze? - powiedziała rezolutnie i poczuła odrobinę satysfakcji, widząc szok na twarzy Harry'ego.

- On jest nieprzytomny? To pani go ratowała?

- A co pan myślał? - Zabolało ją niedowierzanie w jego głosie. - Że postanowiłam sobie popływać? Potrenować przed olimpiadą?

Harry bez słowa przeniósł bezwładnego Jamesa do łodzi.

- Teraz pani kolej - zwrócił się do Kirsten.

Ona jednak zaczęła trząść się tak bardzo, że gdyby nie mocny uścisk Harry'ego, to z pewnością wpadłaby z powrotem do wodnej kipieli. Przyłgnęła mocno do Harry'ego, chociaż umysł podpowiadał jej, że to nierozsądne. Teraz Harry utrzymywał ich oboje nad wodą. Nie próbował jej wszakże odsunąć ani wrzucić bezceremonialnie do łodzi, jak zrobił to z Jamesem. Objął ją jeszcze mocniej, aż poczuła się bezpieczna.

- My tu zostaniemy - odezwał się do żołnierza w łodzi. - Zabierz porucznika Rossa, każ pielęgniarzom się nim zaopiekować i wróć po nas.

- Dlaczego pan go odesłał? - zapytała zdziwiona.

Zęby dzwoniły jej tak potwornie, że z trudem wydobyła z siebie głos.

- Bo trzyma się mnie pani kurczowo. Oboje nie zmieścilibyśmy się do łodzi, a gdybym próbował umieścić tam panią bez siebie, to pewnie skończyłoby się małym wypadkiem.

Zrozumiała, że nie jest zbyt szczęśliwy, trzymając ją, ale na razie istotnie nie potrafiła go puścić.

Ostatecznie, gdy łódź powróciła, Harry odsunął delikatnie Kirsten od siebie i przeniósł ją bezpiecznie do łodzi. Potem otulił szczelnie kocem i ponownie przytulił. Najwyraźniej nie przywiązywał wagi do tego, co pomyśli jego podwładny.

- Ciepło ciała ogrzewa najlepiej - powiedział, gdy Kirsten zrobiła wysiłek, by się uwolnić z jego ramion.

Otarła wodę z twarzy i spojrzała na swego wybawcę. Studiował ją wzrokiem, jakby chciał przeniknąć jej myśli.

- Musi pani przestać mieszać się w brawurowe akcje ratunkowe - skarcił ją łagodnie.

- Nie byłam pewna, czy zauważyliście go w wodzie. Właściwie to Meg go wypatrzyła. Był bezwładny, nie próbował się ratować.

- Więc skoczyła pani za nim. - Wyczuła w jego głosie zarówno podziw, jak i dezaprobatę. - Miała pani szczęście, że były z panią dzieci. Kiedy przybiegły do mnie i powiedziały, że jest pani w wodzie, wziąłem łódź i wypłynąłem jeszcze raz.

Silnik zgasł niespodziewanie, dlatego ostatnie słowa Harry'ego zabrzmiały niezmiernie głośno. Z brzegu dobiegły okrzyki radości i Kirsten raptownie odepchnęła od siebie majora. Potem przeczesła dłonią włosy, uświadamiając sobie, jak potwornie musi wyglądać.

- Fatalnie - rzekł z uśmiechem, potwierdzając jej najgorsze obawy. - Niech pani wsiądzie do land-rovera, to ktoś podrzuci panią do klasztoru. Tym razem to pani musi zmienić ubranie.

- Gdzie James? - zapytała zaniepokojona.

Oczy Harry'ego pociemniały. Może nie powinna nazywać porucznika Rossa po imieniu?

- Karetka go zabrała. Sanitariusze skontaktują się z panią w razie potrzeby, ale jeżeli istnieje ryzyko komplikacji, to bezzwłocznie chcę go odtransportować helikopterem.

Kirsten pozwoliła sobie pomóc przy wysiadaniu z łodzi, a swe pierwsze kroki skierowała do dzieci.

- Chodźcie, maluchy! Wracamy.

Wsiadły do samochodu bez najmniejszego sprzeciwu, zapewne nadal oszołomione całym zajściem.

W czasie krótkiej drogi do szpitala Kirsten była zaprzątnięta myślami o Jamesie. Miał uraz czaszki, groziło mu zapalenie opon mózgowych i zatrucie. Może rzeczywiście trzeba odwieźć go do Veretonu?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy dotarła do szpitala, porucznik Ross był już podłączony do kroplówki i otrzymywał tlen.

- Mary pomoże mi go prześwietlić, zanim ty nie ochłoniesz i doprowadzisz się do porządku - zwrócił się Ken do ociekającej wodą Kirsten.

- Zaraz wrócę - obiecała i pobieгла prosto do łazienki. Marzyła o długiej, gorącej kąpieli, ale w tej chwili mogła pozwolić sobie jedynie na szybki prysznic.

Była pewna, że Ken zbada odruchy warunkowe Jamesa i stopień przytomności metodą Glasgow, żeby określić dokładnie jego stan. Mimo to niepokój jej nie opuszczał.

- Linijne złamanie kości czaszki, bez przesunięcia - oznajmił Ken, zderzając się z Kirsten w drzwiach pokoju Jamesa. - Podczas upadku musiał uderzyć o coś twardego.

Wahanie w głosie Kena powiedziało jej, że pielęgniarz nie mówi jej o wszystkim.

- Jest przytomny, odpowiada na pytania, reaguje na bodźce fizyczne. Źrenice w porządku, ciśnienie krwi i puls w normie. Nie czuje się dobrze, ale to przez te hektolitry wody, jakie połknął. Tylko nie pamięta wypadku.

- To normalne - uspokoiła go Kirsten.

- Ani jak się nazywa - dokończył, przechodząc do sedna sprawy.

- Uszkodzenie ucha może prowadzić do czasowej amnezji - przypomniała. - Miejmy nadzieję, że to jest powód.

Rozważyła ponownie możliwe komplikacje.

- Wyciek z nosa lub ucha?

Ken potrząsnął głową, po czym sprecyzował:

- Był tak mokry, że woda niemal z niego kapiała, ale jak go wysuszyliśmy i przebraliśmy, nic nie zauważyłem. Poza tym Mary sprawdza jego stan co pół godziny. Właściwie to siedzi z nim cały czas, bo nadal jest trochę zdezorientowany.

- Pójdę do niego. Czy powinniśmy zszyć ranę?

- Zakleiliśmy ją plastrami - odparł Ken - ale do tkanek dostały się bakterie z zanieczyszczonej wody i wkrótce możemy mieć poważną infekcję.

Mary z ulgą opuściła pokój, gdy Kirsten stanęła w progu. Ta zrozumiała jej dziwne zachowanie, dopiero kiedy przedstawiła się pacjentowi.

- Pani musi mi coś dać, żebym odzyskał pamięć! - nalegał natarczywie.

Wcześniej podobnie męczył Mary. Cóż, porucznik Ross ujawnił bardzo irytującą stronę swojej osobowości.

- Sama wróci - zapewniła go, chociaż nie mogła tego zagwarantować. - Daj jej trochę czasu. Przede wszystkim musisz odzyskać siły. W tym momencie twój organizm walczy z groźnymi drobnoustrojami. Potem zajmie się pamięcią.

- Nie wierzę pani! - warknął. - Wszyscy lekarze są tacy sami. Większość z was to zawodowi kłamcy.

- Pewnie trzeba mu było pozwolić utonąć - odezwał się głęboki, niski głos.

W progu stał przemoczony Harry.

- Jeszcze mogę go wrzucić do wody z powrotem, jak to robią rybacy - zażartowała, patrząc na błoto pod stopami majora. - Czy nie powinien pan zmienić ubrania? - zapytała ze śmiechem, uświadamiając sobie, jak często to zdanie powtarza się w ich rozmowach.

- Najpierw muszę zamienić słowo z Jamesem. Rozbawienie w oczach majora powiedziało jej, że pomyślał o tym samym.

- Jak się czujesz? - zagadnął podwładnego.

- Uderzenie w głowę spowodowało tymczasową utratę pamięci - wyjaśniła, po czym zwróciła się do rannego porucznika: - To jest major Harry Graham, dowódca twojego oddziału.

Ciemne oczy pacjenta pociemniały z frustracji, więc uspokajająco dotknęła jego ramienia.

- Nie denerwuj się teraz. Odpocznij. Major przyjdzie do ciebie później.

Ruchem ręki wyprosiła Harry'ego z pokoju i wyszła za nim. Dokładnie wiedziała, że zasypie ją pytaniami.

- Co mu właściwie jest? - dopytywał się, potwierdzając przypuszczenia Kirsten. - Czy poważnie się zranił? Wezwała pani helikopter? Zawiadomiła kogoś, żeby go stąd zabrać?

- Mógłby pan mówić ciszej! - warknęła. - Chodźmy do mojego pokoju i porozmawiajmy. Niech się pan nie przejmuje, podłoga i tak jest mokra - zapewniła, kiedy zawahał się przed drzwiami.

Gdy podała mu ręcznik, najpierw wytarł włosy, by woda nie kapiała mu na twarz, po czym położył go na podłodze i stanął na nim. Świetnie wytrenowany! - przemknęło jej przez myśl.

- Potrzebujemy najlepszej opieki - powrócił do urwanego wątku. - Wojsko ma świetnych lekarzy i dostęp do wszystkich specjalistów.

- Najlepszy specjalista na świecie w tym momencie nie przywróci mu pamięci - odparła wojowniczo i spojrzała mu prosto w oczy, aby miał pewność, że panuje nad sytuacją.

- Jestem przekonana, że to chwilowa utrata pamięci, spowodowana uszkodzeniem czaszki przy uderzeniu. I na pewno pamięć powróci szybciej, jeżeli James będzie przebywał wśród znajomych osób, kolegów z oddziału, nawet jeśli to tymczasowy obóz. - Zamilkła, czekając na reakcję majora, ale nie słysząc odpowiedzi, kontynuowała: - Ale to pan o tym zadecyduje. Jeżeli chce pan, żeby stąd odleciał, to w porządku. Mamy dość pracy bez dodatkowych pacjentów.

Zmarszczył groźnie brwi. Zrozumiała, że nie lubił, kiedy zrzucano na niego całą odpowiedzialność. Co było dosyć dziwne, ponieważ postrzegala go jako urodzonego przywódcę i odpowiedzialność za oddział należała do jego podstawowych obowiązków.

- Za mało się na tym znam, żeby podejmować decyzję - przyznał szczerze. - Nie posiadam wystarczającej wiedzy medycznej.

- Więc niech pan zadzwoni do kogoś bardziej kompetentnego - burknęła - na przykład do jednego z tych pańskich ekspertów. Chętnie wysłucham niezależnej opinii.

Harry westchnął i uniósł ramiona w geście bezsilności. Kirsten nie mogła już tego znieść. Przypomniała sobie, że znowu jest w jej pokoju, a nie cieszyły jej powracające wspomnienia związane z jego osobą. Poza tym wyglądał tak bezradnie, że z trudem powstrzymała się, by go nie przytulić.

Głośne kichnięcie majora przerwało męczącą ciszę.

- Niech pan natychmiast zmieni ubranie! - zawołała, wskazując ręką drzwi. - Niech pan wykona swój telefon, a potem wróci do wznoszenia wałów przeciwpowodziowych. Czy nie tym właśnie powinien się pan zajmować?

Zszedł z ręcznika, podniósł go i podał Kirsten.

- Zawsze myślałem, że lekarzy cechuje empatia i umiejętność słuchania, że pocieszają ludzi, zamiast stawiać ultimatum i wydawać rozkazy.

- Widocznie to mnie nie dotyczy - skwitowała rozbawiona. - Proszę mnie powiadomić o decyzji w sprawie porucznika Rossa.

Harry wyszedł pośpiesznie. Musiał wyglądać idiotycznie, stojąc na tym ręczniku. I ta aluzja do jego beczynności! Rzeczywiście, zostawił swoich ludzi bez dowódcy, co oznaczało, że prace na wałach zostały wstrzymane.

Co do porucznika, to sugestia Kirsten, by zostawić go w znanym otoczeniu, ma sens, ale jeżeli był ranny bardziej, niż ona podejrzewa? Im dłużej zastanawiał się nad jej słowami, tym wyraźniej przypominał sobie jej postać, co utrudniało skupienie się na sprawie Jamesa.

Zasięgnij drugiej opinii, upomniał się w myślach. Powinien zadzwonić do znajomego lekarza, który został w bazie, i uzależnić decyzję od jego zdania.

- Jaka ona jest, ta pani doktor? - zagadnął major Paul Gamble, kiedy Harry'emu udało się w końcu z nim skontaktować.

Niska, kręcone włosy i zniewalające, błękitne oczy, odpowiedział sobie w duchu, ale Paulowi udzielił konkretniejszego wyjaśnienia. Stwierdził, że Kirsten jest bardzo oddana swojej pracy i sprawia wrażenie rozsądnej.

- Jej propozycja jest dobra - przyznał Paul. - Ale porozmawiam z nią, jeśli cię to uspokoi. Właściwie to nie mam tu nic do roboty i mógłbym osobiście sprawdzić stan zdrowia Rossa. Na pewno ktoś mnie podrzuci.

Harry powinien się ucieszyć, że ktoś inny podejmie za niego decyzję, jednak wizja Paula Gamble'a, słynnego podrywacza, przebywającego zbyt blisko doktor McPherson, wyraźnie mu nie odpowiadała.

- Myślę, że to nie jest konieczne - rzekł stanowczo. Kichnął po raz kolejny, odkładając słuchawkę, i zdecydował, że czas na prysznic.

Kirsten odwiedzała po kolei swych pacjentów. Meg i Libby dotrzymywały towarzystwa Cathy, a Anthony grał w warcaby z Chipperem. Wyglądało na to, że zawiódł jej plan utrzymania dzieci w pokoju na poddaszu.

- Skądże, one umilają mi czas - zapewniła Cathy, kiedy Kirsten spytała, czy dzieci nie są uciążliwe. - Nie narzekam na nadmiar gości, a maluch tylko śpi i je. Mogę jedynie pogadać z Brettem.

- Z Brettem? - powtórzyła.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, że to imię kapitana Woulfe'a. Widocznie zdążyła się już zarazić od majora jego tytułomanią.

Cathy zaczęła mówić coś o rodzinnym mieście Bretta, lecz Kirsten zgubiła wątek, zatrzymując się na wspomnieniu ramion majora, obejmujących ją, gdy czekali na łódź.

- Lepiej pójdę do Jamesa - stwierdziła, przywodząc się ostro do porządku.

Pacjent spał spokojnie. Mary poinformowała, że zasnął zaraz po wyjściu dowódcy.

- Najwidoczniej sam jego widok, nawet jeśli go nie poznał, podziałał na niego uspokajająco - powiedziała pielęgniarka i Kirsten zgodziła się z nią.

Rzeczywiście, było to możliwe. Nie wiedziała wystarczająco dużo o amnezji, by odrzucić taką ewentualność.

- Zawiadom mnie, jeżeli zauważysz jakąkolwiek zmianę - poprosiła. - Martwi mnie możliwość zapalenia płuc.

Rozważyła ponownie opcję ewakuacji porucznika. Może nie powinna pozostawiać tej decyzji Harry'emu? Wróciła do pokoju Jamesa i ponownie przestudiowała jego kartę zdrowia. Postanowiła zasięgnąć rady neurologa, który wykładał na jej uniwersytecie. Teraz był już znanym profesorem, specjalistą od urazów mózgu.

Nie zastała go w gabinecie, ale uprzejma sekretarka zapisała jej numer i w kilka minut później zadzwonił telefon. Po zwyczajowej wymianie uprzejmości Kirsten wyjaśniła lekarzowi sytuację i czekała na jego opinię.

- Z zasady jestem przeciwko przewożeniu pacjentów z takimi urazami - powiedział - chyba że istnieje konieczność przeprowadzenia dalszych badań, rezonansu magnetycznego, tomografii czy operacji. Z twoim pacjentem sprawa nie wygląda tak źle. Właściwie stracił tylko pamięć. Ma twardą głowę albo jest szczęściarzem.

- Więc mam go tu zatrzymać?

- Zdecydowanie tak - odparł Charles Gresham. - Ale pilnuj go i nie zwlekaj z odwiezieniem, jeżeli wystąpią nawet najmniejsze komplikacje.

- Dzięki za radę - odrzekła sucho, gdyż myśl o wierceniu dziury w czaszce Jamesa przyprawiła ją o dreszcze.

- Podajesz mu antybiotyki? - zapytał. - Należałoby zrobić to profilaktycznie, żeby powstrzymać ewentualną infekcję.

Kirsten rozważała wcześniej taką możliwość i odrzuciła ją, lecz teraz przychyliła się do zdania Charlesa. Podziękowała mu i odłożyła słuchawkę. Uspokojona, nie obawiała się już ataku Harry'ego. Mogła przedstawić mu teraz niepodważalne argumenty.

James nadal spał. Nie chciała podawać mu penicyliny bez wcześniejszego wywiadu, na wypadek, gdyby był na nią uczulony. Ale czy pacjent cierpiący na amnezję będzie pamiętał takie rzeczy?

Zbliżała się noc. Postanowiła znaleźć Harry'ego, ale poinformowano ją, że major udał się już na odpoczynek.

- Czy mógłby mi pan wyświadczyć przysługę? - zapytała młodego żołnierza. - Na pewno macie wojskowego lekarza w bazie, prawda?

- Pewnie chodzi o doktora Paula Gamble'a. Mogę panią z nim połączyć bez kłopotania majora.

Kirsten powinna się ucieszyć, ale wyobraziła sobie lekarza z drugiej strony słuchawki. Zapewne jakiś karierowicz, który nie zechce jej pomóc. Trudno. Nie miała wyjścia.

- Doktor Gamble na linii - oznajmił żołnierz i podał jej słuchawkę.

Kirsten sucho pozdrowiła nieznanego, lecz jego ciepły głos sprawił, że po chwili rozmawiali jak starzy znajomi.

- Studiował pan w Sydney? - spytała zdziwiona. Zaimponował jej ukończeniem najstarszego uniwersytetu w kraju. Potem rozmowa zeszła na wykładowców, zniechęczone oraz ulubione przedmioty i minęło sporo czasu, zanim przeszli do sedna.

- Podejrzewam, że chodzi o porucznika Rossa. Harry do mnie telefonował.

Kirsten wyjaśniła mu swoje obawy.

- Niestety, nie jestem teraz w biurze i nie mam dostępu do jego dokumentów.

Alergie na pewno są tam zaznaczone. Czy mogę do pani oddzwonić później?

Znakomicie. Może dowie się czegoś więcej o zdrowiu Jamesa, co będzie pomocne w tej sytuacji? Odłożyła słuchawkę, ale przecież nie podała mu numeru!

- Niech się pani nie martwi, Paul sobie poradzi - uspokoił ją młody żołnierz.

- Czy mogę tutaj zaczekać?

- Oczywiście - odparł radośnie. - Tu jest tak nudno, że zacząłem liczyć kamienie w murze. Zazwyczaj mam dużo papierkowej roboty, ale w tej sytuacji zostaje mi tylko odbieranie telefonów.

Kirsten zapytała go, skąd pochodzi, i zaczęli omawiać zalety i wady mieszkania poza miastem.

- Ma pani ochotę na kawę? Dowódca uwielbia naturalną, więc mamy wszystko pod ręką - zagadnął przyjaźnie.

Kirsten odgadła, iż została w jakiś sposób wyróżniona tą propozycją, a ponieważ zaczynał morzyć ją sen, więc chętnie na nią przystała.

Siedziała z nogami na biurku majora i z kubkiem jego najlepszej brazylijskiej kawy w rękę, śmiejąc się z czegoś, co mówił przez telefon Paul, gdy Harry niespodziewanie stanął przed nią. Raptownie zdjęła nogi ze stolika i z pośpiechu oblała go kawą. Zakląła siarczyście i upuściła słuchawkę.

- Znowu jest pan mokry - wyjąkała.

- Chyba tak samo jak pani - stwierdził, patrząc na Kirsten, próbującą wytrzeć swoją koszulkę. - Sprzedaje pan moją kawę czy ją pan rozdaje, kapralu? - zwrócił się do podwładnego, który najchętniej zapadłby się pod ziemię.

Harry podniósł rzuconą słuchawkę.

- Słucham?

Najwidoczniej Paul wciąż był na linii, ponieważ Kirsten zdołała usłyszeć jego niski głos. Zrozumiała, że nie jest już potrzebna. Dowiedziała się najważniejszych rzeczy. Podziękowała bezradnemu żołnierzowi i tchórzliwie oddaliła się z biura, pozwalając, by złość majora skrupiła się właśnie na nim.

Okazało się, że James Ross nie był na nic uczulony. Przyjmował penicylinę podczas zapalenia migdałków. Ponadto Paul zgodził się, że podawanie pacjentowi antybiotyków to dobry pomysł.

Kirsten i Joan miały pracowitą noc. James nie miał już gorączki i odpoczywał, lecz mimo to dawał się wszystkim we znaki. Brettowi zaś zaczął nagle przeszkadzać gips.

- Myślę, że to nie wina usztywnienia - rzekła Kirsten do Joan, kiedy w środku nocy zrobiły sobie kawę. - Ma wysypkę na piersiach i ramionach. Jeżeli to samo pojawiło się na skórze nogi, to wcale się nie dziwię, że tak narzeka.

- Teraz zasnął, więc dlaczego ty również nie położysz się na chwilę? Nie możesz być na nogach dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kirsten zgodziła się z Joan, lecz martwiła się stanem Jamesa i Bretta. Poza tym Moira przestawała jeść i chyba trzeba było wreszcie podjąć jakąś decyzję.

- Sprawdzę tylko, czy wszystko w porządku, i pójdę się przespać - obiecała.

Zajrzała po kolei do pacjentów i stwierdziła, że wszyscy śpią, po czym uspokojona ruszyła na górę. W głównym wejściu zauważyła sylwetkę człowieka, pogrążoną w cieniu. Chwyciła stojącą nieopodal latarkę i skierowała strumień światła w tamtym kierunku. Major Graham we własnej osobie. Tym razem ubrany w pasiastą piżamę.

- Cóż za uroczy widok w środku nocy - zażartowała, chociaż jej serce zabiło niebezpiecznie szybko. Oczywiście, tylko i wyłącznie ze strachu. Nocny strój majora nie miał z tym nic wspólnego. - Zaczaił się pan na kogoś?

- Nie. Po prostu się przechadzam.

- Ach, przechadza się pan. Czy to nowa forma wieczornego relaksu? - zakpiła.

- Tak, chodzę sobie tam i z powrotem.

- O północy?

- Mam kłopoty z zaśnięciem. Czy byłaby pani łaskawa wyłączyć tę latarkę?

Wygląda pani jak policjant z marnego filmu kryminalnego.

- Nie dziwię się, że nie mógł pan zasnąć, skoro ta piżama robi tyle hałasu.
- Piżama? - wymamrotał zdziwiony.
- Bardzo szeleści - wyjaśniła i nagle zrobiło jej się go żal. - Dać panu coś na sen?
- Nic nie potrzebuję! - warknął, a ona podniosła ręce w geście poddania.
- Spokojnie. Nie proponuję panu przecież narkotyków, tylko łagodny środek nasenny. Gorący napój też może pomóc.

- Nie chcę - odparł, ale zreflektował się po chwili i dodał: - Dziękuję.

Ton jego głosu był jeszcze bardziej lekceważący niż słowa, więc Kirsten powiedziała „dobranoc” i zniknęła w swoim pokoju. Długo myślała jednak o powodach bezsenności Harry'ego. Czy martwi się rannymi żołnierzami? Może ich obecność w szpitalu utrudnia mu pracę?

Postanowiła rankiem go o to zapytać. Po kilku minutach spała już jak kamień, dopóki nie obudziło jej pukanie do drzwi. Na zegarku była siódma.

- Kończę zmianę - poinformowała Joan. - Brett ma jeszcze większą wysypkę. Powiedział, że w dzieciństwie był szczepiony przeciwko odrze, jednak to może być różyczka. Temperatura nieznacznie wzrosła, ale na razie nie ma innych symptomów.

Ubierając się, rozważała możliwość przeniesienia Bretta do łazienki na piętrze, gdzie znajdowała się przestronna wanna. Może kąpiel by mu pomogła?

Wyszła obejrzeć schody, gdy z kwatery dowództwa wyłonił się młody żołnierz i powitał ją przyjaźnie.

- Jak pan myśli, czy uda się nam przenieść pacjenta z gipsem przez to wąskie przejście? - zapytała i ruszyli razem w kierunku łazienki.

Zastanawiali się nad tym problemem, kiedy w drzwiach pokoju naprzeciwko stanął Harry.

- Przenosi pan biuro do łazienki, żołnierzu? - zagadnął, doprowadzając podwładnego niemal do zawału serca.

- Opracowujemy plan kąpieli kapitana Woulfe'a - wyjaśniła Kirsten, próbując nie skupiać się na osobie przystojnego majora. Coś w jego wyglądzie albo raczej w postawie było tak zniewalającego, że czuła się nieswojo.

Harry podszedł bliżej i zajrzał do łazienki.

- Najchętniej pewnie spuściłaby go pani z wodą - mruknął i Kirsten odpowiedziała śmiechem na jego żart.

- Chętniej pozbyłabym się Jamesa - odparła, ale zreflektowała się po chwili. - Żartuję. Kapitan Woulfe ma chyba różyczkę i wysypka pod gipsem bardzo go drażni. Myślę, że kąpiel z dodatkiem sody oczyszczonej mogłaby podziałać na niego kojąco. Oglądaliśmy właśnie schody i zastanawialiśmy się, czy damy radę przenieść go na górę.

- Myślę, że łatwiej byłoby znieść na dół wannę. Pogadam z mechanikiem i zobaczę, co da się zrobić. Chce go pani zamoczyć całego czy tylko nogę?

- Nie uda się to panu.

- Założy się pani? - uśmiechnął się zaczepnie. - Niech pani to nam zostawi.

Wniesiemy go na górę albo wykąpiemy na dole.

- Ale wy macie ważniejsze rzeczy na głowie. Nie powinien pan odrywać żołnierzy od pracy przy wałach.

- Bez obawy. Nie zaniedbam tego cennego miasta, ale jestem także odpowiedzialny za samopoczucie moich ludzi. Zawsze w obozie zostają jacyś żołnierze. Oni się tym zajmą.

Schodząc wolno ze schodów, zastanawiała się, co takiego ma w sobie Harry Graham, że tak działa na jej zmysły. On zaś odprowadzał ją wzrokiem i myślał, dlaczego Kirsten zawsze jest gdzieś w pobliżu i zazwyczaj rozmawia lub żartuje z jego podwładnymi w sposób, w jaki nigdy nie zwracała się do niego. Na niego potrafiła tylko warczeć albo nakazywać mu zmienić ubranie! Nie mógł pojąć, czemu w ogóle się tym przejmuje. Z pewnością nie chodzi jedynie o pożądanie, chociaż jej błękitne oczy i piękna twarz zwróciłyby uwagę niejednego mężczyzny. Jednak podziw dla jej urody, a nagłe poruszenia serca, jakie czuł, ilekroć wpadał na nią przypadkowo, to są zupełnie różne sprawy.

Wszystko to przez powódź, ciągłą niepewność i strach przed tym, co przyniesie następny dzień, tłumaczył sobie w duchu. Pojawienie się mechanika skierowało jego myśli ku sprawom bardziej odpowiednim w tym momencie. Podwładny nie przyszedł bynajmniej montować wanny dla kapitana Woulfe'a, lecz powiadomić o lądowaniu helikoptera z dowództwa.

- Tylko tego mi brakowało! - warknął ze złością Harry.

- Pewnie trzeba będzie kogoś oprowadzać.

- Harry, stary przyjacielu! - rozległ się w drzwiach radosny głos. - Lecieli z jakimś transportem tą drogą, więc poprosiłem, żeby mnie podrzucili. Zajmę się osobiście naszymi chłopcami. Nie możemy przecież przemęczać miejscowej pani doktor - dodał mężczyzna, śląc Harry'emu uśmiech powalający kobiety z nóg.

Paul Gamble był ubrany w mundur koloru khaki. Spodnie miał zaprasowane w kant. Ten umie się zaprezentować, pomyślał Harry.

- Przyleciałeś sam? - zapytał przyjaciela, ciesząc się, że może wykreślić z programu zwiedzanie okolicy.

- Tylko ja i trochę moich rzeczy - odparł wesoło Paul.

- Chodźmy. Pokaż mi, gdzie mogę się rozgościć i gdzie... są pacjenci.

Major spojrzał na niego wilkiem. Zrozumiał tę pauzę. Wiedział, że przyjacielowi chodzi o Kirsten. Zaintrygowała go wczoraj podczas rozmowy telefonicznej i wymyślił jakiś pretekst, żeby się tu pojawić. Powinien był go powstrzymać.

Trudno, skoro tego nie uczynił, pozostaje mu robić dobrą minę do złej gry. Harry wezwał podwładnego i poinstruował go, gdzie ma zaprowadzić Paula.

- Mnie wzywają obowiązki - zwrócił się sucho do kolegi. - Myślę, że sobie poradzisz.

Nie potrafił już zapobiec spotkaniu Paula z Kirsten, więc nie miał najmniejszej ochoty snuć się po klasztorze i obserwować donżuana w akcji.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kirsten siedziała w swym pokoju, myśląc o dziwnym zachowaniu Harry'ego. Właściwie dlaczego tak się tym przejmuję? Pukanie do drzwi przerwało tok jej myśli.

- Proszę! - zawołała.

To pewnie Harry przyszedł poinformować ją, co zdecydowali w sprawie Bretta. Ku jej zaskoczeniu w drzwiach stanął młody pielęgniarz z bardzo przystojnym żołnierzem, który przedstawił się jako Paul Gamble. Kirsten uścisnęła mu dłoń i powitała przyjaźnie, choć w duchu wprost kipiała ze złości. Jak Harry śmiał bez uprzedzenia przysłać lekarza do jej pacjentów?

- Przyjechał pan zająć się moimi chorymi? - zapytała.

- Ależ skąd! - odparł z uśmiechem. - Nie mam zamiaru podważać pani kompetencji. Przyznaję, szukałem wymówki, żeby wyrwać się z bazy na kilka dni.

Paul Gamble był bez wątpienia niezwykle atrakcyjny, więc dlaczego nie działał na nią tak jak Harry Graham? Nie potrafiła tego pojąć.

- Chodźmy, poznam pana z personelem. Możemy zajrzeć do rannych żołnierzy, jeśli ma pan ochotę.

- Powinienem przynajmniej udawać, że coś robię, dopóki tu jestem - stwierdził, przepuszczając ją w drzwiach i muskając delikatnie dłonią jej ramię, kiedy go mijała.

Czyżby z nią flirtował? Minęły wieki, odkąd ostatni raz mężczyzna próbował ją uwieść. Właściwie zapomniała już, jak to jest. Gdy po chwili weszli do pokoju Bretta, Kirsten stanęła zszokowana. Łóżko było odsunięte pod ścianę, na środku pokoju stała olbrzymia balia, szlauch zwisał z parapetu okna, a w rogu stała dmuchawa, zapewne po to, by utrzymać odpowiednią temperaturę w pomieszczeniu. Cóż, plan majora widocznie się powiódł.

- Aż tak dał się wam we znaki, że chcecie go utopić? - zagadnął wesoło Paul.

- Ma okropną wysypkę i swędzenie pod gipsem doprowadza go do szału. Podaję mu leki antyhistaminowe, ale kąpiel może również wpłynąć kojąco - wyjaśniła.

- To dobry pomysł - przytaknął Paul, patrząc na dwóch żołnierzy trzymających wąż z wodą i Kena, który doskonale panował nad sytuacją. - Chyba nie jesteśmy tu potrzebni.

- Jakbyśmy mieli za mało wody! - mruknęła Kirsten, kiedy wyszli z tej prowizorycznej łazienki.

Weszli do Jamesa. Najwyraźniej znowu miał trudny dzień i pouczał Peggy, jak ma posłać jego łóżko.

- Niezadowolony z opieki?

Na widok Paula James natychmiast stanął na baczność i zasalutował. Lekarz jednak odsunął na bok formalności i zwrócił się przyjaźnie do pacjenta:

- Niekiedy nawet małe uderzenie w głowę może na jakiś czas osłabić pamięć.

Wiem, że bezcelowe jest upominanie cię, ale na siłę niczego nie zrobisz. Daj sobie trochę czasu i odpoczywaj. Założę się, że dzisiaj pamiętasz więcej niż wczoraj.

- Ma pan rację - potwierdził James. - Przypomniałem sobie, jak się nazywam, i wiem, że jestem żołnierzem, chociaż do końca nie rozumiem, co to znaczy.

- To już coś - pocieszył go Paul. - Powiem panu więcej, jest pan bardzo dobrym żołnierzem.

- Pewnie chciałby pan tu zostać u niego przez jakiś czas? - zapytała Kirsten. - Będę u siebie, jeżeli zechce pan kontynuować obchód.

Paul nie pojawił się przed lunchem. Kirsten dowiedziała się od Mary, że cały ranek spędził u Jamesa, a potem poszedł do Bretta.

- Przepraszam, że tak wyszło - usprawiedliwił się później - ale James bardzo chciał porozmawiać o wojsku. Chyba jest teraz mniej zdezorientowany.

- Dziękuję za pomoc. Czy ma pan ochotę na dalsze zwiedzanie, czy woli pan zająć się swoimi sprawami?

- Wybieram zwiedzanie - odparł. - Jedna z pielęgniarek powiedziała mi, że był to kiedyś klasztor. Nie mogę się doczekać, żeby poczuć tę atmosferę, jaką pozostawiły po sobie te niewinne kobiety. To miejsce musi być przesiąknięte frustracją.

Kirsten uśmiechnęła się, słuchając tych nonsensów.

- Major stwierdził, że nie ma wielkiej różnicy między celami zakonnice a namiotami wojskowymi - powiedziała, wprowadzając żołnierza do zachodniego skrzydła.

- I jak zakończyła się ta rozmowa?

- Wszystkie rozmowy z majorem kończą się w dziwny sposób - odparła, wskazując na główne wejście. Nie miała ochoty rozmawiać o Harrym Grahamie. - Jest takie duże

dlatego, żeby zakonnice mogły przechodzić przez nie parami, nie zaczepiając obszernymi szatami o mury. My też odkryliśmy jego zalety. Można swobodnie przenosić nosze i cały sprzęt.

- Ale nie zamierzacie tu zostać? Po powodzi wróćcie przecież do dawnego budynku.

Kirsten westchnęła. Nie była w nastroju do wyjaśniania całej sprawy związanej z zamknięciem szpitala.

- Po co? To miejsce jest idealne na szpital. Żadna powódź mu nie zagrazi, więc nie trzeba ewakuować pacjentów. Kamienne mury dają przyjemny chłód w lecie, a ciepło w zimie. A pokoi starcza nawet dla personelu.

- Ale ten klasztor jest stary! Wszędzie buduje się nowe, zmodernizowane szpitale.

- W miejscu drewnianych budynków, w których pienia się bakterie, a ten budynek może i jest stary, ale na pewno czysty. Owszem, musieliśmy wyremontować salę operacyjną, ale reszta jest w porządku.

- Cóż, jest lepiej, niż przypuszczałem - stwierdził, kiedy Kirsten zaprowadziła go na blok operacyjny. - Jednak oddzielne pomieszczenia dla każdego pacjenta utrudniają opiekę.

- Proszę pójść ze mną. W pokojach jest wystarczająco dużo miejsca dla dwóch pacjentów. Poza tym, czy w dobrych, prywatnych szpitalach chorzy nie mają oddzielnych sal?

Odwiedzili Chippera, który narzekał, że wojsko zabrało mu jedynego kompana do zabawy - Anthony'ego. Potem przeszli do Moiry. Paul zadawał pytania osłabionej kobiecie i, nie chcąc jej męczyć, sam udzielał odpowiedzi, czekając tylko na nieznaczny ruch potwierdzenia lub zaprzeczenia.

Kirsten obserwowała go uważnie i przyznała, że jest nie tylko przystojnym mężczyzną, ale i świetnym lekarzem.

- Wkrótce na stałe trzeba będzie podłączyć ją do kroplówki - stwierdził, kiedy wyszli z pokoju.

- Tak, wiem, ale wciąż odkładam tę decyzję. Nie chcę, żeby się domyśliła, że to początek końca.

- Powolna śmierć... - przyznał ze smutkiem.

- Na razie mamy dużo czasu i nie ma znaczenia, że karmienie jej zajmuje trzy godziny.

- Tak należy opiekować się pacjentami w ośrodkach dla nieuleczalnie chorych - sprzeciwił się Paul.

- A czy szpital nie jest miejscem, gdzie każdy może znaleźć pomoc? - zapytała. - Chodźmy do pana Curtisa. Powinien być w domu opieki, ale nie opłaca się go zakładać dla jednego człowieka, więc został z nami.

Paul już nie komentował. Porozmawiał chwilę ze starcem, a potem Kirsten zaprowadziła go do Cathy, która właśnie karmiła dziecko.

- Rob jutro przyjedzie - oznajmiła przejęta młoda matka. - Na północy szczytowa fala już przeszła i Rob może spokojnie wyjechać na kilka godzin.

- To okropne, że jej mąż jest kompletnie odcięty od świata, kiedy ona leży tu z dzieckiem - zauważył oburzony Paul w drodze do kuchni.

- Wszyscy przechodzimy tu przez swoje piekło. Nie wiem, kiedy to się wreszcie skończy.

Kirsten poznała Paula z personelem, a kiedy przemierzali ponownie hol, z którego widać było dawne cele w obu skrzydłach klasztoru, powiedziała:

- To tu właśnie rezydowały pańskie tajemnicze zakonnice. Aktualnie pracownicy szpitala zajmują lewą stronę, a wojsko prawą, więc niech pan nie zabłądzi. Spojrzał na nią z ukosa.

- Widziałem łóżko w pokoju, który zwie pani swoim biurem. Myślę, że to jedyne miejsce, gdzie mógłbym zbłądzić.

Kirsten poczuła mrowienie w skórze, kiedy w końcu zorientowała się, że Paul naprawdę próbuje z nią flirtować. Nie miała pojęcia, jak zareagować, więc wybrała opcję najprostszą - zmieniła temat.

- Nie przedstawiłam panu jeszcze Martina Grahama. Cierpi na rozedmę płuc i od niedawna testuję na nim metodę IPPB.

Paul uniósł w zdziwieniu brwi.

- Nie skomentuje pani tego?

Kirsten potrząsnęła głową jeszcze bardziej zażenowana, ponieważ rumieńce na policzkach niewątpliwie ją zdradziły.

Harry wszedł frontowymi drzwiami i zauważył ich, gdy stali na schodach. Był wściekły. Nie życzył sobie obecności Paula, a kiedy podszedł bliżej, zauważył, że jego kolega zdenerwował Kirsten. Tego było już za wiele!

- Jak się czujesz po wizycie u pacjentów? - zapytał, chcąc przypomnieć mu, że przyjechał tu sprawdzić stan zdrowia rannych żołnierzy, a nie podrywać panią doktor.

- Są w dobrych rękach - odparł, unosząc dłoń Kirsten. - Przepięknych rękach - dodał.

- Więc już wyjeżdżasz? - zapytał sucho Harry, widząc, że Kirsten wcale nie próbuje uwolnić się z uścisku Paula.

- Ależ skąd! - odrzekł z irytującą nonszalancją. - Przecież jesteśmy odcięci przez powódź. Ptak, który mnie tu przywiózł, już odleciał.

- Na pewno mogę coś ci załatwić. - Głos Harry'ego stawał się coraz bardziej stanowczy.

Dlaczego ona pozwala mu trzymać dłoń?! Przecież na pewno zdążyła się już zorientować, jaki to facet. I co u licha robili na górze?! Oglądali nowy pokój Paula?

- Służę o każdej porze - dodał i oddalił się czym prędzej, by nie powiedzieć czegoś, czego mógłby żałować. W biurze będzie mógł pokrzyczeć choćby na swego podwładnego. Powód zawsze się znajdzie.

Kirsten wyrwała dłoń z uścisku Paula. Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej? Nagłe pojawienie się Harry'ego zupełnie ją dezorientowało. A sposób, w jaki na nią patrzył...

- Lepiej będzie, jeśli wrócę do pracy - rzuciła, schodząc na dół.

- Czyżby bała się pani Harry'ego? Zapewniam panią, że pod tą jego gburowatą powierzchownością kryje się łagodny baranek.

- Nikogo się nie boję - zapewniła, choć tak się właśnie poczuła, gdy przed momentem Harry Graham mierzył ją wzrokiem.

Deszcz znowu padał, kiedy Harry wyszedł do miasta, by nadzorować żołnierzy układających na wałach ostatnie worki z piaskiem. Było późne popołudnie, a oni pracowali bez przerwy od poprzedniego dnia. Miał pewność, że miasto jest dobrze zabezpieczone. Owszem, poziom wody na pewno podniesie się w zalanych miejscach, ale szczytowa fala nie powinna już bardziej uszkodzić budynków. Spodziewano się jej dzisiaj około północy. Pozostawało tylko czekać.

Odesłał kierowcę, postanawiając wrócić pieszo do swej tymczasowej Kwatery Głównej. Wszystko było pod kontrolą, więc mógł zrobić sobie małą przerwę, odpocząć chwilę albo spędzić trochę czasu z Martinem Grahamem. Chciał zdać relację z przebiegu prac, a przy okazji poznać lepiej tego człowieka, dowiedzieć się czegoś o jego życiu.

Przez cały czas nękał go wewnętrzny niepokój. Gdyby tylko mógł porozmawiać o tym z kimś, kto dobrze zna Martina i jest świadomy stanu jego zdrowia. Z kimś takim jak doktor McPherson...

Westchnął głośno, wspinając się na wzgórze. Przekonał się, że jest kompetentną i dobrą lekarką, więc dlaczego nie chce z nią omówić swych wątpliwości?

- Bo boisz się odsłonić przed tą kobietą - odpowiedział sobie głośno.

Nie zdecydował się przyznać dlaczego. Wiedział to doskonale i wcale nie podobało mu się to, co czuł.

- Często mówi pan do siebie?

Zatrzymał się raptownie, kiedy Kirsten stanęła przed nim.

- A pani często lewituje? - odciął się, próbując powstrzymać paniczne bicie serca.

- Nie, po prostu schodzę ze wzgórza - odparła i usłyszał w jej słowach delikatny chichot, a isierki zamigotały w jej oczach. - Był pan tak zatopiony w myślach, że mnie pan nie zauważył.

Z wysiłkiem odwrócił wzrok od jej uroczej twarzy, którą z pewnością niejeden malarz chciałby sportretować.

- Szukała mnie pani?

- Właściwie nie. Wyszłam zaczerpnąć choć trochę świeżego powietrza, sprawdzić poziom wody i rozprostować nogi.

Harry z tej listy wyjaśnień wybrał tylko dwa słowa i na nich się skupił.

- Właściwie nie? - powtórzył pytająco.

Odwróciła się. Powiodła wzrokiem po zalanej wodą okolicy i nagle spojrzała mu prosto w oczy.

- Mówił pan wcześniej o planach. Potrzebuję czegoś takiego. Do tej pory pokonywaliśmy problemy w miarę ich pojawiania się. Czas zmienić strategię.

Zastanawiałam się, czy mógłby pan... - Zamilkła, lecz zanim Harry zdołał zrozumieć sens

jej słów, ciągnęła: - Oczywiście, to nie pana problem. Wkrótce pan wyjedzie, a poza tym strategię wojenną to pewnie zupełnie inna rzecz niż walka z rządem...

Znowu urwała. Sprawiała wrażenie tak zatroskanej, że Harry zapragnął mocno ją przytulić. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz czuł się podobnie.

- Czy sprawa ze szpitalem jest aż tak poważna? - zapytał, zadowolając się położeniem dłoni na jej ramieniu.

- Tak, jest fatalnie - odparła, nie usuwając się spod jego ręki, co zachęciło Harry'ego do muśnięcia palcem gładkiej skóry jej karku. Oczywiście, tylko dlatego, by dodać jej otuchy! - Grożą nam odcięciem funduszy. Martin Graham jest członkiem zarządu i zazwyczaj on radził sobie z takimi problemami, ale jest chory i nie mogę go dodatkowo martwić. Jim Thompson też jest w szpitalu, w Veretonie, a reszta albo walczy z powodzią, albo wyjechała z miasta. Chyba zostałam sama...

Spojrzała na niego z niemym błaganiem w oczach. Teraz trzymał dłoń na jej ramieniu i miał przed sobą jej twarz. Jedyną strategią, o której mógł w tym momencie myśleć, dotyczyła poznania smaku jej kuszących ust...

Upomniał się w duchu. Jest przecież żołnierzem, w dodatku na służbie...

- Harry?

Cudowny dźwięk jej głosu i niepewność, z jaką wypowiedziała jego imię, sprawiły, że przebiegł go dreszcz. Teraz już żaden wojskowy nakaz nie mógł zabronić mu wziąć tej kobiety w ramiona i pocałować. Przesunął dłonie po plecach Kirsten, rozkoszując się jej ciepłem. Chciał, by ta chwila trwała wiecznie, by jej usta...

- Proszę pana! - piskliwy głos Anthony'ego odezwał się nagle za ich plecami. Kirsten raptownie odsunęła się od Harry'ego. - Dziadek pyta, czy może pan do niego przyjść?

Chłopiec uważnie przeniósł badawczy wzrok z Harry'ego na Kirsten.

- Czy Kirsten wpadło coś do oka?

Major uśmiechnął się, choć wciąż był spięty. Był pewien, że doktor McPherson czuła się podobnie.

- Tak się nam wydawało - wyjaśnił, myśląc o pożądaniu, jakie widział w jej błękitnych oczach, zanim zakryły je powieki. - Pójdę do twojego dziadka.

Palce malca ufnie wsunęły się w dłoń żołnierza i Kirsten westchnęła ze smutkiem, obserwując dwie postaci zmierzające do klasztoru. Co ma znaczyć to wzdychanie? Powinna być zadowolona, że Anthony pojawił się w samą porę. Harry Graham jest tylko gościem w jej życiu. Za miesiąc już go nie będzie. Nie może skupiać się na kuszących, brązowych oczach ani bezpieczeństwie, jakie daje jego dotyk. Przecież nie chce żyć dalej ze złamanym sercem.

Znowu powiodła wzrokiem po zalanym wodą mieście. Tak, to miejsce jest jej przeznaczone. Przynajmniej na najbliższą przyszłość, dopóki sprawa szpitala się nie rozwiąże. A Harry to zawodowy żołnierz. W każdej chwili rozkaz może rzucić go daleko stąd, bez względu na to, co zaczyna ich łączyć.

Kirsten nie rozumiała tego uczucia. Było dziwne, kompletnie pozbawione sensu. Przecież Harry tak bardzo ją denerwował. Przypomniała sobie ranek, kiedy wyprowadził ją z równowagi, przywołując bez uprzedzenia wojskowego lekarza.

Jak mogła interesować się takim despotą?

- Idzie pani na dół czy na górę? To Paul!

- Na dół. Chcę zobaczyć, jak wysoko sięga woda.

- Patrzyłem na ten bezmiar wód, kiedy leciałem samolotem - powiedział, stając obok niej. - Trudno wprost uwierzyć, że cokolwiek może przetrwać taki potop.

Rozmawiali o powodzi i Kirsten pokazywała mu doszczętnie zniszczone zabudowania.

- To przecież nie wydarzyło się po raz pierwszy, więc dlaczego miasto nie zostało przeniesione? Oczywiście, wiele lat wcześniej, kiedy tylko mieszkańcy zorientowali się, że będzie ciągle narażone na podobne wypadki.

- Chyba nauczyli się sobie z tym radzić. Powodzie doskonale nawilżają ziemię, a poza tym, gdyby przyjechał pan tu zimą, przekonałby się pan, że silne zachodnie wiatry uniemożliwiają życie na wzgórzach. Trzeba szukać schronienia w dolinach.

Zawróciła w stronę klasztoru, ponieważ bardzo przygnębiał ją ten widok. Odpowiadała na pytania Paula, lecz nie mogła zdusić w sobie uczucia żalu, że to nie Harry idzie obok niej, mimo że nic dla niej nie znaczył. Poza tym była na niego zła. Ale te brązowe oczy...

- Poznałem panią Mathers - powiedział nagle Paul. - Czy naprawdę skradziono jej wszystkie klejnoty?

- Wyobraża pan sobie, jakie bogactwa mogła posiadać ta kobieta? - odparła Kirsten, uśmiechając się wesoło. - To była kolorowa kapa na łóżko. Wieszala ją w drzwiach, żeby odstraszyć muchy. To prawda, że w słońcu mieniła się przepięknie.

- Klejnoty! - Paul wybuchnął śmiechem, zatrzymując się przed budynkiem. - Nawet powiedziała mi, że były to szmaragdy, szafiry i rubiny.

- Pani Mathers bardzo się do niej przywiązała - wyjaśniła Kirsten, zadowolona, że wreszcie może się beztrąsko śmiać, kiedy drzwi nagle się otworzyły.

Wyraz poirytowania na twarzy Harry'ego odebrał jej całą radość,

- Moglibyście opowiadać sobie dowcipy w innym miejscu! - Głos majora był cichy, ale ostry. - Pan Graham właśnie zasnął, a rzekomo jest tu szpital.

Paul obrzucił wzrokiem Kirsten i Harry'ego, uniósł jedną brew i mruknął:

- Niesamowite! - Po czym udał się do pokoju Bretta Woulfe'a.

- Jestem wolny, jeżeli nadal chcesz porozmawiać o strategiach - rzekł Harry chłodno.

Kirsten nie miała ochoty na przebywanie w jego towarzystwie, kiedy był tak wrogo usposobiony, lecz czy mogła odrzucić tę ofertę?

- Możemy pójść do mojego pokoju - zasugerowała niepewnie.

Kiedy już drzwi zamknęły się za nimi, okazało się, że Harry bardziej interesował się Martinem Grahamem niż kłopotami szpitala.

- Obawiam się, że zmęczyłem go swoją wizytą - oznajmił, wstając z krzesła, na którym przed chwilą usiadł, i rozpoczynając nerwowy marsz po gabinecie. -

Opowiedziałem mu szczegółowo o pracach na wałach, ale on chyba chciał poruszyć sprawę szpitala...

Przerwał i spojrzał na Kirsten. Siedziała tak nieruchomo, że przypominała posąg. Posąg, portret... Potrząsnął głową, aby odpędzić natarczywe myśli.

- Nic nie powiesz?

- Co mam powiedzieć? - zapytała. - Oczekujesz zapewnienia, że go nie zmęczyłeś? Przecież jesteś na tyle inteligentny, żeby zrozumieć, że mówienie może osłabiać chorego.

- Spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem. - Chyba nie to cię martwi. Wiem, że masz wiele współczucia dla tego starca, ale...

Harry nie zdecydował się wyznać, co tak naprawdę go niepokoi. Nie mógł znieść myśli, że ta kobieta mogłaby źle go ocenić, gdyby ostatecznie nie zdecydował się przyznać, kim jest. Nie wolno mu tego robić, jeśli prawda o wydarzeniach sprzed trzydziestu dwóch lat może zadać ból staremu człowiekowi i zagrozić jego życiu...

- Co do twojego planu, to przede wszystkim musisz znaleźć dojdzie do zarządu, zorientować się, czy przypadkiem nie zwolni się miejsce, i postarać się wygrać wybory. Martin Graham powiedział, że dożyłaś petycję, ale to za mało. Trzeba nagłośnić sprawę, zainteresować media, postarać się o wywiad w radiu, może dostać się do jakiegoś talk-show.

Kirsten wiedziała, że powinna zanotować jego pomysły, ale skupiła się na swoim sercu, które wyczuło, że Harry próbuje zagłuszyć coś bardzo bolesnego. Coś, czym nie chce się z nią podzielić. Dlaczego miałby to zrobić? - zapytała samą siebie.

Bo chcę tego, odpowiedziało jej nieszczęśliwe serce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Słuchasz mnie czy nie?! - zirytowany głos Harry'ego przywrócił ją do rzeczywistości.

- Media, talk-show, zainteresować ludzi z okolicy trudną sytuacją szpitala. Tak, zanotowałam wszystko - odrzekła, lecz zdając sobie sprawę z nieprawdziwości tych słów, dodała szybko: - W pamięci.

- Będziesz miała kontakt z mediami, kiedy reporterzy pojawią się tu, żeby zrobić zdjęcia po powodzi - powiedział znacznie łagodniej, jakby mówił do niej, ale myślał o czymś zupełnie innym.

Kirsten poczuła wzruszenie, kiedy przypomniła sobie, jak tego samego dnia po południu, tuż przed pojawieniem się Anthony'ego, Harry omal jej nie pocałował!

- Kobieto! - wycodził ze złością, ruszając w jej stronę.

- To tak, jakbym mówił do ściany, chociaż pewnie uważniej by mnie słuchała. W jednym momencie chcesz, żebym pomógł ci opracować kampanię na rzecz ratowania

szpitala, a zaraz potem siedzisz z wzrokiem wbitym w stół i myślisz Bóg wie o czym! Pewnie Paul Gamble zaprzęta ci myśli - rzucił z nieukrywaną irytacją. - Więc pozwól sobie powiedzieć, że ten facet po prostu uwodzi kobiety i jeszcze szybciej je rzuca. Owszem, jest czarujący, ale jeżeli spodziewasz się dłuższego związku, to pomyliłaś adres!

Tyrada Harry'ego przerwała jej marzenia o brązowych oczach i pocałunkach. Momentalnie wrócił żal, jaki miała do niego. Wyprostowała się i wybuchnęła:

- Zostawmy urok osobisty Paula, a pomówmy o tym, dlaczego go tu sprowadziłeś. Pomówmy o tym, że nie wierzysz w moje kompetencje i że ignorujesz moje uczucia. Pomysłałeś, jak się będę czuła, kiedy przywieziesz lekarza do moich pacjentów?

Rosnące wzburzenie poderwało ją z krzesła. Stała twarzą w twarz z mężczyzną, którego przeznaczenie postawiło na jej drodze. Jakby dotąd miała za mało problemów!

- Niezależne opinie są zazwyczaj bardzo wskazane, ale w tej sytuacji... - Uniosła dłoń. by zaakcentować swoje słowa, ale on chwycił ją za przegub. Zaniemówiła, a potem zauważyła, że jego spojrzenie łagodnieje.

- Paul Gamble przyleciał tu z własnej woli - oznajmił bez cienia wcześniejszej złości. - Czy myślisz, że chciałbym mieć obok siebie węża? - Urwał raptownie, puścił dłoń Kirsten i podszedł do okna. - Jestem żołnierzem. Wojsko to moje życie. Ciągle się przenoszę. Wiesz o tym, prawda?

Jeszcze nigdy świadomość czegoś nie była tak bolesna. Kirsten nie miała pojęcia, jak zareagować. Postanowiła nie przerywać ciszy. Utkwiła wzrok w mocnych, szerokich plecach Harry'ego i zastanawiała się nad złośliwością losu. Napięcie w pokoju rosło. Musiała coś powiedzieć, udowodnić, że jej nie zależy. Albo lepiej, że nie rozumie.

Odetchnęła głęboko. Podeszła do okna i utkwiła wzrok w wodzie, której poziom wyraźnie się podniósł.

- Więc nie pomożesz mi uratować szpitala - powiedziała spokojnie, gratulując sobie w duchu opanowania. - W porządku. Podsunąłeś mi kilka pomysłów. Radziłam sobie dotąd, więc dalej też chyba dam radę.

Odwrócił się do niej, zaskoczony tak bardzo, że nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Przez moment panowało milczenie. Potem Harry odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

- Ty mała wiedźmo! - Porwał ją w ramiona i zamknął jej usta krótkim pocałunkiem.

Jej ciało doskonale dopasowało się do niego. Wplótł palce w jej włosy i przyciągnął ją bliżej, całując gorąco. Był zdumiony, że mu się nie opierała. To tylko pocałunek, powtarzał sobie w myślach, próbując złapać oddech. Jednak jego ciało pragnęło więcej. Ostatecznego przyzwolenia, bezwzględnej uległości.

- To tylko pocałunek - usłyszał wypowiedziane szeptem echo swoich myśli i poczuł małą dłoń na piersi.

Chłód na wargach powiedział mu, że Kirsten się odsunęła. Spojrzał na jej pochyloną głowę, na wypieki na policzkach. Nie trzeba być geniuszem, by zrozumieć, że mówiła do siebie. To znaczy, że jest nie mniej wstrząśnięta od niego. Cóż, dało mu to jakąś satysfakcję.

- Muszę wrócić do pacjentów - oznajmiła, cofając się o krok. - Byłeś u Martina Grahama. Zasnął, prawda?

Odzyskiwała spokój zdecydowanie szybciej niż on.

- Zasnął - mruknął. - Przynajmniej spał, kiedy wychodziłem. - Zawahał się. Tak bardzo pragnął się jej zwierzyć, poprosić o radę. - Kirsten?

Spojrzenie błękitnych oczu odebrało mu oddech. Zapomniał o swoim problemie, o tym, że całowanie się z nią to błąd. Wziął ją w ramiona i zaczął wszystko od nowa. Nie odepchnęła go tym razem, lecz w odpowiedzi otoczyła ramionami. Ich ciała przylgnęły ściślej do siebie.

Ostre pukanie do drzwi w brutalny sposób przerwało ich karesy. Kirsten rzuciła się w kierunku biurka, chłodząc dłońmi rozpalone policzki.

- Proszę! - zawołała, opadając na krzesło.

Ken wszedł niepewnie do środka i spojrzał badawczo na Kirsten i Harry'ego.

- Wojskowy lekarz pana poszukuje. Właśnie przyszedł Allan Smith, ma guz w pachwinie. Mówi, że wyczuł go jakiś czas temu, ale był zbyt zajęty, żeby pojawić się wcześniej. Dopiero teraz znalazł chwilę, kiedy major wysłał ich na odpoczynek.

Patrzyła na szybko oddalającego się Harry'ego, czując jednocześnie zawód i ulgę. Bez niego łatwiej odzyska nad sobą kontrolę.

- Zaraz przyjdę - zwróciła się do Kena. - Sprawdziłeś, czy wdało się zakażenie?

- A jak myślisz? - Ken wyraźnie się z nią droczył. - Nadział się na coś jakiś tydzień temu i zupełnie o tym zapomniał. Bolało go trochę, ale ci faceci nie mają czasu na lekarzy. To miejsce jest zaczerwienione i gorące, boli przy dotyku, ale chyba nie ma ropnia.

Kirsten wstała, zadowolona, że może czymś się zająć i przestać myśleć o Harrym.

Allan Smith siedział na kozetce w jej „izbie przyjęć”. Miał rozstawione szeroko nogi i nie wyglądał bynajmniej na uszczęśliwionego. Kirsten powitała go i obejrzała czarne znamię w miejscu przebiccia skóry.

- Nastąpiła infekcja i muszę przeciąć skórę, żeby usunąć zakażenie - poinformowała mężczyznę. - Przez jakiś czas rana będzie otwarta.

- Czy nie może mi pani po prostu dać jakiegoś antybiotyku, żeby zwalczyć zarazki, i nie ruszać nogi?

- Niestety, zakażenie zaatakowało już gruczoł limfatyczny. Stąd ten guz. Jeżeli go nie usunę, to infekcja się rozszerzy i wtedy będzie pan poważnie chory.

- Ale jeżeli pani to przetnie, a ja wrócę do wody... - powiedział, usiłując wstać i wyjść jak najszybciej ze szpitala, skoro pozostanie w tym miejscu oznacza przerwanie pracy przy wałach.

- Niech pan posłucha. - Powstrzymała go ruchem ręki. - Większość jest już zrobiona. Teraz właściwie zostało już tylko czekanie na opadnięcie wód, a potem sprzątanie. Nie mówię, że to będzie łatwe, ale już nie tak naglące. Na pewno znajdzie się coś, co będzie pan mógł robić bez konieczności brodzenia w zanieczyszczonej wodzie.

Popatrzył na nią uważnie, przeciągnął dłonią po włosach i przyznał z wahaniem:

- Myślę, że mógłbym przejąć obowiązki Bertiego. On bardzo niepokoi się o rodzinę i aż pali się, żeby pojechać do Veretonu.

- Świetnie! - zgodziła się Kirsten. - Ponosi pan opatrunek osuszający tylko przez czterdzieści osiem godzin, potem założę coś nieprzepuszczającego, więc nie stanie się wielka tragedia, jeżeli trochę zamoczy pan nogę. Ale to nie oznacza, że może pan taplać się w wodzie! - dodała ze śmiechem.

Podeszła do Kena.

- Myślę, że rana jest zbyt zaogniona, żeby wystarczyło miejscowe znieczulenie.

- Słaba narkoza? - zapytał pielęgniarz. - Sprawdziłem mu ciśnienie i puls. Nie jest na nic uczulony. Co mam mu podać?

- Meperidyne. Sto gram domięśniowo, potem dożylnie diazepam. Po tym nie powinien nic czuć.

- Otumanicie mnie trochę, żeby pociąć mi nogę - zaproponował, kiedy wyjaśniła, co będą robić.

- Niech mi pan uwierzy, tak będzie najlepiej - zapewniła go. - Teraz proszę się rozluźnić. Ken dotrzyma panu towarzystwa, zanim znieczulenie zacznie działać. Ja wrócę na tę okrutną część zabiegu - dodała z uśmiechem.

- Wszystkie kobiety są takie same! - Allan roześmiał się dobrodusznie. - Uwielbiają zadawać ból mężczyznom.

- Cha, cha! A co z mężczyznami zadającymi ból kobietom? Nie zauważyłam facetów ustawiających się w kolejce do rodzenia dzieci.

- Gdyby tylko było to możliwe! Fizycznie możliwe - odezwał się niski głos i Kirsten zauważyła wchodzącego do pokoju Paula. Za nim kroczył Harry Graham. Wyglądał na spokojnego i obojętnego. - Zabieram Harry'ego na mały obchód po klasztorze. Chyba wiem już o tym miejscu więcej niż on.

Kirsten unikała wzroku Harry'ego. Miała nadzieję że Paul wyprowadzi go stąd jak najszybciej. Gdziekolwiek, byle dalej.

- Czy pozna nas pani ze swym pacjentem? - zapytał Paul.

Złudna nadzieja, pomyślała Kirsten, przedstawiając sobie trzech mężczyzn. Harry poznał Allana, ale zamiast zainteresować się stanem jego zdrowia, zaczął omawiać z nim ewentualne słabe strony planu zabezpieczenia miasta, późniejsze sprzątnięcie oraz potrzebny sprzęt.

- Ostatnim razem zabrakło nam szlauchów z wodą. Wiem, że to głupio używać wody tam, gdzie jest jej aż nadto, ale nic nie usuwa błota lepiej - wyjaśnił Allan. - Pańscy ludzie mają ich chyba tutaj pod dostatkiem? - zagadnął Harry'ego, a ten zaczął szczegółowo wyliczać, czym dysponują.

Kirsten stała niezdecydowana. Powinna wstrzyknąć pacjentowi meperidyne, ale podejście do Allana oznaczało zbliżenie się do Harry'ego. Nie, tego wolała uniknąć. Może powinna zostawić to Kenowi i wrócić, kiedy Allan zaśnie? Ken położył jednak przygotowaną strzykawkę na kozetce, więc Kirsten nie miała wyjścia. Gdyby tylko Harry był po drugiej stronie...

- Pewnie pani przeszkadzamy? - zapytał Paul i mrugnął do niej zalotnie.

Harry zauważył to i burknął coś pod nosem.

- Proszę - powiedziała błagalnie. - Na pewno jest parę rzeczy, których major nie widział.

- Może cele dziewic? - zasugerował Paul. - Ale znając Harry'ego, sędzę, że już zdążył tam zawitać.

Był to zdecydowanie „męski” dowcip. Allan, Ken i Paul wybuchnęli gromkim śmiechem, a Harry znowu zamruczał coś niewyraźnie. Po chwili opuścili jednak pokój i Kirsten mogła wreszcie zaaplikować pacjentowi środek znieczulający.

- Niedługo wrócę - rzekła potem do Kena. Potrzebowała chwili dla siebie.

Jej pokój, przepełniony wspomnieniami o Harrym, nie gwarantował spokoju. Chciała wyjść na dwór, odetchnąć świeżym powietrzem, jeśli można je za takie uznać. Musiała jednak odwiedzić pacjentów. Z doświadczenia wiedziała, że jeżeli będzie zwlekać z obchodem, to wieczorem zabraknie jej czasu.

Zaczęła od Jamesa. Nie był już tak naburmuszony, ponieważ odzyskiwał powoli pamięć, a wraz z nią pewność siebie.

- Major Graham powiedział, że ty wyciągnęłaś mnie z wody.

- Jesteś największą rybą, jaką kiedykolwiek złowiłam - zażartowała, ale sama wzmianka o Harrym przyprawiła ją o dreszcze. Musi zwalczyć uczucie, jakie się między nimi rodzi, czymkolwiek ono jest...

- Pomyślałam o tym, żeby dać ci buziaka i wyrzucić za siebie, jak zrobił to ten rybak w telewizji - dodała lekko.

- Oglądałem ten program! - zawołał uszczęśliwiony. - Lepiej już ze mną, skoro pamiętam takie rzeczy, prawda?

- Lepiej, ale musisz odpoczywać. Bardziej martwię się o pęknięcie czaszki niż pamięć. Jestem pewna, że jak dasz jej trochę czasu, to wróci w całości - pocieszyła go Kirsten.

- Ale ja zupełnie nie pamiętam uderzenia w głowę. Nawet tego, że byłem na wałach. Major uziemił mnie przecież w biurze praktycznie na cały czas pobytu tutaj.

James zirytował się. Kirsten wiedziała, jak bardzo denerwujący potrafił być Harry Graham. Dlaczego myśli o nim wciąż burzą jej spokój? Praca! - upomniała siebie w myślach.

- Możesz nie przypomnieć sobie tych kilku chwil poprzedzających wypadek. To czasami się zdarza przy silnych urazach głowy, ale nie powinieneś się tym zamartwiać.

James zrobił minę, z której wyczytała, że nie zamierza odpuścić nawet tych kilku minut, ale tym razem nic nie powiedział. Porozmawiała z nim jeszcze chwilę, zanim poszła do Moiry.

- Jadła dzisiaj dużo lepiej. - Peggy zatrzymała ją w drzwiach, ponieważ Moira zasnęła. - Wiem, że musimy porozmawiać o stałej kroplówce, ale dzisiaj Moira była naprawdę cudowna.

Kirsten wyczuła cień nadziei w głosie starszej kobiety.

- Jeżeli czyjeś uczucie i wiara może utrzymać kogoś przy życiu, to ty robisz to dla Moiry. Jesteś cudowny przyjacielem. Nieocenionym wsparciem.

- Ona jest taka łagodna - wyszeptała Peggy wzruszonym głosem. - Cóż, nie mogę się tak obijać. Powinnam pomóc Belli przy kolacji. - Uśmiechnęła się do Kirsten i zniknęła w korytarzu.

Męskie głosy dochodzące z pokoju Chippera zwiastowały, że „wycieczka” majora właśnie tam się zatrzymała. Kirsten poszła dalej. Panu Curtisowi dotrzymywała towarzystwa pani Mathers, racząc go opowieścią o swojej burzliwej ewakuacji. Mężczyzna zdawał się niewiele z tego rozumieć, lecz kurtuazyjnie potakiwał i uśmiechał się.

Harry ma w sobie sporo kurtuazji. Ciekawe, czy wypracował to, czy już się taki urodził?

W następnym pokoju leżał kapitan Woulfe. Wypoczęty po kąpieli, grał z dziećmi w warcaby.

- Nie pozwól im wejść ci na głowę - ostrzegła go.

- Ależ skąd! One ratują mnie od śmiertelnej nudy. Z tym gipsem nie mogę się nigdzie ruszyć.

- Tylko przez jakiś czas. Poza tym mamy wózki, jeżeli marzy ci się spacer. Niestety, będziesz ograniczony do tych murów. Nie chcę, żebyś stoczył się ze wzgórza prosto do wody.

Szczytowa fala dosięgnie miasto dzisiejszej nocy, potem w ciągu kilku tygodni wszystko wróci do normy. I wojsko zniknie stąd za miesiąc... Kirsten westchnęła, popychając następne drzwi. To wzdychanie zaczyna wchodzić jej w nałóg. Powinna z tym skończyć!

Pokój Petera Phelpsa świecił pustkami. Zapewne chłopak zaprzątnięty jest jakimiś wojskowymi sprawami. Cathy także nie było, ale łazienka rozbrzmiewała krzykami dziecka. Kirsten skierowała tam swoje kroki.

- Kąpiemy Roberta - oznajmiła dumnie Libby, pomagająca Cathy trzymać malucha.

- Właśnie widzę - odparła Kirsten.

Badała chłopca dzisiaj rano. Był w znakomitej formie, jak na kogoś mimowolnie wplątanego w cały ten powodziowy kryzys. Śmiał się i wywoływał zamieszanie wokół swojej . malutkiej osóбки. Mimo to Kirsten nie była, jak zazwyczaj, przepelniona radością z powodu pojawienia się na świecie nowego dziecka. Odczuwała jakiś brak we własnym życiu i to wywoływało w niej depresję.

Wróciła do pana Smitha. Zabieg przebiegł szybko i sprawnie. Gdy skończyła, zmartwiła się, że znowu nie będzie miała czym zająć myśli. Allan wkrótce rozbudził się na tyle, że mogli przetransportować go do kuchni i poczęstować wczesną kolacją.

- Pewnie karmią tu lepiej niż w mieście - powiedział.

- Przy następnej powodzi zatrudnimy kogoś, żeby nam gotował. Jim Thompson miał kucharza, ale był beznadziejny. Teraz zastąpił go Ernie i jest jeszcze gorzej.

Dobroduszne narzekania starszego mężczyzny uświadomiły jej, dlaczego ma słabość do małych miasteczek - a do tego miasteczka w szczególności. Ludzie nie potrzebują wiele, doceniają to, co mają. Akceptują życie takim, jakie jest. Pewnie dlatego, że żyją w tak trudnych

warunkach. Nie, to nie brak ambicji. To radość z prostych i zwykłych rzeczy.

Pożegnała Allana i zwróciła się do Kena:

- Zabierz go do kuchni. Ja tu posprzątam.

Nie, nie miała zamiaru się ukrywać. Po prostu szukała spokojnego miejsca, by przemyśleć kilka spraw. A właściwie cóż to za sprawy? Jakies dreszcze wstrząsające jej ciałem i uczucia, których nie rozumie...

- To jest jak niegroźna infekcja. Minie - powiedziała głośno, mając nadzieję, że jej słowa się spełnią.

- Teraz ty mówisz do siebie... - Z zadumy wyrwał ją dobrze znany głos, a niespodziewany dreszcz zadał kłam jej poprzedniemu zapewnieniu.

Jedno spojrzenie powiedziało jej, że Harry nie przyszedł tu bez powodu.

- Jakiś problem? - Odruchowo zbliżyła się do niego, ale zatrzymała w bezpiecznej odległości.

- Nie - zapewnił pospiesznie. - Woda przybiera szybciej, niż się spodziewaliśmy. Będziemy bardzo zajęci przez dzień, może dwa. Ja...

Przyszedłem, żeby powiedzieć ci do widzenia...

- Pomyślałem, że dam ci znać - dokończył, gasząc tym samym isierkę nadziei, którą jego widok rozniecił w jej sercu.

- Powodzenia - odrzekła sucho, decydując się na grę pod tytułem: „Zostańmy dobrymi znajomymi”. - Nawet jeżeli nikt nie zasypuje cię podziękowaniami, mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo jesteśmy wdzięczni za to, co robicie.

Jego ciepły uśmiech ogrzał ją niczym słońce.

- Dlaczego mi dziękujesz? - zapytał, kłaniając się zabawnie. - Przecież wiem, jak trudno ci przychodzi takie słowa.

- Och, zostaw mnie! Idź walczyć z powodzią! - wykrzyknęła ze złością. - Jesteś najbardziej prowokującym człowiekiem, jakiego znam. Staram się być miła, a ty co robisz? Kpisz ze mnie! Jesteśmy ci wdzięczni, ja także, ale jeżeli nie chcesz podziękowań, to w porządku.

Harry wydawał się zaskoczony jej nagłym wybuchem.

- No cóż... - mruknął, po czym zapadła cisza.

Nieodparta chęć przytulenia się do niego powróciła, jednak Kirsten wiedziała, że bliskość Harry'ego może być dla niej niebezpieczna.

- Będziemy w kontakcie - powiedział sucho. Znów był chłodny i rzeczowy.

- Powodzenia - odrzekła z bijącym niespokojnie sercem. - Uważaj na siebie.

Harry skinął głową i rzucił na odchodnym:

- Ty też uważaj na siebie. Trzymaj się z daleka od wody, i żadnych bohaterskich wyczynów! Słyszysz?

Kirsten zasalutowała do jego oddalających się pleców. Uśmiechnęła się w pustym już teraz pokoju, nie mogąc ukryć radości, jaką wywołały jego słowa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następne trzy dni były istnym piekłem dla ludzi zatrudnionych przy ochronie miasta. Za to w szpitalu czas płynął wolno. By go wypełnić, Kirsten i Bella zajęły się pieczeniem ciastek do popołudniowej herbaty dla pracujących mężczyzn. Kuchnia wojskowa zapewniała im główne posiłki.

- Dzisiaj mają gulasz - poinformowała któregoś popołudnia Peggy. - Jak oni mogą aż tyle zjeść?

Kirsten udawała zainteresowanie, ale jeżeli nie słyszała ani słowa o Harrym, wiadomości stawały się nieciekawe. Co właściwie znaczy jeszcze jedna powódź?

Widywała się z Harrym w przelocie. Od czasu do czasu mijali się na schodach, gdy wpadał się przebrać. W najbardziej dramatycznym okresie pełnił całodobowy dyżur.

Paul Gamble wreszcie odleciał, zabierając ze sobą Bretta Woulfe'a.

Tego dnia Murrawarra przeżywała istny najazd reporterów. Ich helikoptery kołowały nad wodą jak stado irytujących olbrzymich komarów.

- Starłam się z nimi pierwszego dnia - żaliła się Kirsten Kenowi, kiedy dwa kolejne helikoptery wylądowały w ciągu pół godziny tak blisko klasztoru, że mury zatrzęsły się od hałasu. - Myślałam, że zdołam ich zainteresować trudną sytuacją szpitala, ale oni chcą tylko widoku zdechłych krów, powalonych budynków i zrujnowanego miasta. To wszystko jest takie przytłaczające.

- Ludzie już tacy są, że skupiają się na nieszczęściach, a nie na triumfach - przypomniał Ken. - Wystarczy obejrzeć wieczorne wiadomości. Wydaje się, że wszyscy delektują się obrazami śmierci i zniszczenia.

- Ja im pokażę śmierć i zniszczenie! - wycedziła Kirsten, kiedy ciszę przerwał turkoczący dźwięk szykującego się do odlotu helikoptera. - I skończę te gierki!

Wybiegła na zewnątrz. Młody kamerzysta zmierzał właśnie w kierunku czekającego śmigłowca.

- Ej, ty! - zawołała, usiłując przekrzyczeć warkot silnika.

- Zaczekaj! - Zawołany zatrzymał się na chwilę wystarczająco długo, by zdążyła się do niego zbliżyć. - Chciałabym, z panem porozmawiać.

Mężczyzna wskazał na helikopter i z pewnością by odszedł, gdyby nie chwyciła go za ramię.

- To jest szpital. Mam pacjentów i nie życzę sobie, żebyście tutaj lądowali, kiedy tylko wam się podoba. Niech pan powie to pozostałym.

- Równie dobrze mogę powiedzieć, żeby woda przestała przybierać - odparł drwiąco. - Nic ciekawego się nie dzieje, więc trzeba wykorzystać powódź. A wojskowe operacje to świetny materiał na wiadomości. Żal z tego nie skorzystać! - rzucił na odchodnym i wskoczył do maszyny.

Helikopter wzniósł się nad klasztorem i reporter skierował kamerę na Kirsten. Zapewne jej pełna furii twarz i groźnie zaciśnięta pięść ukaże się w wieczornym serwisie informacyjnym!

- No i zdobył ujęcie miejscowej pani doktor, która traci panowanie nad sobą!

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Harrym. Był przemoczony do suchej nitki.

- To wszystko twoja wina - oskarżyła go z goryczą. - Czy zainteresowali się szpitalem? Nie, przecież wojsko to taki dobry materiał na wiadomości! - przedrzeźniała dziennikarza. - Gdybyś miał choć trochę przyzwoitości, to zorganizowałbyś tę wojnę w innym miejscu. Mielibyśmy tu przynajmniej odrobinę spokoju.

- Myślałem, że zależy ci na rozgłosie - rzekł przymilnie i Kirsten zacisnęła pięści, żeby go nie udusić.

- Chcę, żeby przestali! - powiedziała dobitnie. - Czy nie możesz im zabronić tu przylatywać?!

- Zabronić dziennikarzom pojawiać się gdziekolwiek to tak, jakby dać im specjalne zaproszenie. Od razu wyczują, że dzieje się coś ciekawego, i będziesz miała ich jeszcze więcej. - Uśmiechnął się łagodnie. - Poza tym nie mam prawa komenderować cywilami w tej okolicy.

- To nie powstrzymało cię przed rozkazywaniem mnie, od kiedy się tu pojawiłeś. - Podeszła bliżej i dźgnęła go palcem w pierś. - Od początku straszyles mnie przymusową ewakuacją.

- To był blef - przyznał, myśląc o tym, że złość dodaje jej urody.

- Ja nie blefuję - oznajmiła twardo. - I jeżeli nic nie zrobisz z tymi helikopterami, to sama się tym zajmę.

- Zacznieś wymachiwać pięściami? - zakpił. To był niezawodny sposób na rozpalenie tych niesamowitych błysków w jej oczach.

- Nie, przestawię samochód! - warknęła i odeszła, nie dając mu czasu na pytania.

Zrozumiał jej słowa dopiero później, gdy zszedł do obozu. Samochody, które, jak podejrzewał, należały do personelu i stały gdzieś w garażach, były teraz rozstawione po całym placu. Na pierwszy rzut oka ich ustawienie wyglądało na przypadkowe, a w rzeczywistości było isticie strategiczne. Teraz już żaden helikopter nie zdoła tu wylądować. Harry odniósł wrażenie, że rozpoznał także kilka wojskowych pojazdów, ale postanowił to zignorować.

Gdy uporali się z najgorszym, wysłał cywilów i część załogi na zasłużony odpoczynek. Jutro zacznie się powolna i żmudna akcja oczyszczania miasta.

Zjadł kolację z podwładnymi i zadowolony, że wszystko idzie pomyślnie, skierował się do klasztoru. Czy powinien wpaść do Kirsten i pogratulować jej przebiegłości? Idąc korytarzem, zmienił decyzję. Bez względu na to, jak bardzo chciał się z nią zobaczyć, czasu miał niewiele i nie mógł go poświęcać tylko na spotkania ze zniewalającą panią doktor. Martin Graham był ważniejszy w tej sytuacji. Pragnienie poznania go bliżej stało się niemal obsesją Harry'ego, taką samą, jak pragnienie spotkania młodej lekarki.

Martin Graham nie spał i powitał majora z radością człowieka spragnionego towarzystwa. Harry zrelacjonował mu wydarzenia ostatnich dni, wspominając także o małym błędzie w planie, który skończył się jednym niepotrzebnie zatopionym budynkiem.

- Ogólnie jestem dość zadowolony - dodał. - Teraz martwię się głównie tym, że więcej zabudowań jest w takim stanie jak gmach rady miejskiej. W każdym momencie mogą runąć. - Wyciągnął mapę z tylnej kieszeni spodni i rozłożył ją na łóżku. - Spójrz. Te linie sugerują małe obniżenie w tyra miejscu, jakby kiedyś płynął tędy strumień. Czy wychowałeś się w tej okolicy?

Starszy mężczyzna skinął głową, więc Harry pytał dalej:

- Pamiętasz coś takiego?

- Nie, ale przy skrzyżowaniu są piorunochrony, więc może kiedyś był tu odpływ, którym w czasie ulewnych deszczy spływała woda.

Wskazał na budynki, które mogły zostać najbardziej dotknięte powodzią, mówiąc:

- Te powinieneś sprawdzić w pierwszej kolejności.

Głos chorego był dzisiaj mocniejszy, więc Harry zachęcił go, by włączył się w planowanie akcji oczyszczania. Umiejętnie wplótł w rozmowę kilka bardziej osobistych pytań. Z opowieści Martina wyłonił się obraz mężczyzny zrozpaczonego po odejściu żony, usiłującego samotnie uporać się z wychowaniem trzyletniej córki, Elizabeth.

- Moja żona po prostu rozpląnęła się w powietrzu. Nie chciała, żebym ją odnalazł. - W jego głosie brzmiał nieukojonny dotąd żal. - Powiedziała mi przed odejściem, żebym nie próbował jej szukać. Ale miłość nie pozwoliła mi usłuchać tego zakazu. Próbowałem. Bezskutecznie.

Harry odniósł wrażenie, że ktoś wbił nóż w jego serce. Chciał powiedzieć, że ta kobieta także go kochała, ale nie był pewien prawdziwości tych słów.

- Mój błąd. Nie czekaj zbyt długo, Harry. Nigdy nie myśl, że są rzeczy ważniejsze od miłości. To był mój problem. Byłem za stary. Nie, nie na miłość i nie dla niej, ale za stary, żeby się zmienić. Zbyt kurczowo trzymałem się drogi, którą szedłem. Nie umiałem pójść na kompromis. Farma była moim domem, dziedzictwem, całą przeszłością i przyszłością. Nie potrafiłem zrozumieć, że ona może widzieć to wszystko inaczej. Byłem zbyt zarozumiały i pewny siebie, żeby dostrzec wady, jakie ona widziała w byciu żoną farmera.

Harry poczuł dotkliwy smutek, jednak poznanie tajemnicy dzieciństwa sprawiło, że bagaż, który dźwigał ze sobą przez całe życie, przestał mu nagle ciążyć. Podziwiał siedzącego naprzeciwko mężczyznę za zrozumienie jego matki, choć w jego słowach nadal było dużo cierpienia.

- Co teraz? - zapytał, chociaż bał się odpowiedzi. - Co z farmą? Dziedzictwem?

- Elizabeth kocha to miejsce - westchnął Martin. - Chciałaby, żeby któreś z dzieci tu zostało, ale jest rozsądna. Wie, że cała trójka może stąd odfrunąć. Poza tym farma i dzieci to chyba za ciężki chleb dla samotnej kobiety. - Zamilkł na chwilę i spojrzał posepnie na

Harry'ego. - Czasami myślę, że gdybym żył jeszcze kilka lat, to bardziej bym jej zawadzał niż pomagał.

- Wątpię, żeby tak było - zapewnił go Harry. - Anthony zwierzył mi się, że nie lubi, jak ludzie umierają, więc musisz się trzymać, chociażby dla niego.

- Dobry dzieciak. - Głos Martina słabł ze zmęczenia, więc Harry życzył mu dobrej nocy i wycofał się z pokoju, jeszcze bardziej zatroskany i niepewny.

- Jesteś zagubiony w myślach czy po prostu zabłądziłeś? - Pytanie Kirsten wyrwało go z zadumy. - Twój pokój jest na górze. Pierwsze drzwi po lewej stronie.

- Masz chwilę, żeby porozmawiać? Nie jest za późno? Chwyił ją za ramiona niczym tonący człowiek rozpaczliwie szukający ratunku. Wiedział, że jego desperacja mogła ją przerazić. Spojrzała na niego zaniepokojonym wzrokiem.

- Chodźmy do mnie - powiedziała, odwracając się raptownie, tak że jego ręce opadły bezwładnie.

- Czy Martin jest bardzo chory? - zapytał, gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Zauważył błysk zawodu w jej oczach, ale sprawa staruszka powinna być na pierwszym miejscu, bez względu na to, co usłyszał dzisiaj o odsuwaniu miłości na później.

- Właściwie jest bardziej osłabiony niż chory. - Powiedziała to z takim spokojem, że zaczął się zastanawiać, czy ów błysk zawodu był tylko wytworem jego wyobraźni. -

Dlaczego pytasz?

Harry poczuł nieodpartą potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego, całej historii od początku, ale wrodzona ostrożność, pogłębiona dodatkowo przez służbę w wojsku, kazała mu milczeć.

- Myślałem o szoku. Czy może zabić słabego człowieka? Czy świadomość czegoś, czego nie chciał albo nie potrzebował sobie uprzytomnić, może wpłynąć na niego negatywnie?

Zmarszczyła brwi, a on zapragnął nade wszystko usunąć tę zmarszczkę z jej czoła. Wiedział jednak, że jeżeli jej dotknie, to zapomni o celu swej wizyty. Zapomni o wszystkim.

- Jaki szok? Co chcesz mu powiedzieć? - Jej źrenice powiększyły się z niepokoju. - O Boże! Nosisz to samo nazwisko! Nie mów, że jesteś jakimś dawno zaginionym synem i spadkobiercą. Dziecko z przelotnego romansu? Nie! Nie wyobrażam sobie Martina

uwikłanego w romanse. Jest najporządniejszym człowiekiem na świecie. Tak, to mogłoby spowodować groźny wstrząs psychiczny.

Uśmiechnął się, widząc, że paplanina Kirsten jest reakcją na jej własny szok. Uświadamianie sobie swoich reakcji to duży krok naprzód w. każdym związku. Nie żeby łączył ich jakiś związek ani żeby kiedykolwiek zamierzał jej coś zaproponować, chociaż...

- Więc? - zapytała, podchodząc bliżej i klepiąc go w ramię. - O to chodzi? Chcesz wiedzieć, czy wiadomość, że jesteś jego synem, może go zabić? Tak?

Harry cofnął się nieznacznie. Nie po to, by usunąć się z zasięgu jej dłoni, lecz dlatego, że bliskość jej ciała utrudniała mu racjonalne myślenie.

- To nie był romans - powiedział, usiłując skupić się na słowach, nawet jeżeli jego ciało było zaabsorbowane czymś innym. - Moja matka była jego żoną. Dopiero w jakiś czas po odejściu od Martina uświadomiła sobie, że jest w ciąży. Nie powiedziała mu o tym, wiedząc, że pragnęłby mnie zatrzymać lub chociaż utrzymywać ze mną kontakt, więc zmieniła nazwisko. Wyjechała z Sydney, gdzie znało ją zbyt wielu ludzi i byłoby trudno zachować moje istnienie w tajemnicy. Zaczęła wszystko od nowa w Victorii.

- Ale przecież nazywasz się Graham - ze zdziwieniem stwierdziła Kirsten.

- Dotknęłaś najistotniejszej części tej historii - powiedział z żalem w głosie. - Tak, Graham to moje nazwisko. Matka nie chciała go zmienić, co było całkowicie nielogiczne, skoro sama wróciła do panińskiego, Purvis. Przez całe życie kłamałem, żeby wytłumaczyć to kolegom.

- Kłamałeś? W jaki sposób?

Jeszcze raz kobieca intuicja wychwyciła coś, czego nie miał ochoty tłumaczyć.

- Na początku mówiłem, że moja matka jest tajnym agentem zmuszonym do zmiany nazwiska, chociaż wszyscy wiedzieli, że pracuje w domu opieki. Matka nigdy nie wyjaśniła mi tego sama, dlatego wydedukowałem, że musiała ponownie wyjść za mąż, kiedy byłem bardzo mały, a że nie pamiętałem żadnego mężczyzny w domu, więc pewnie szybko zmarł. Nigdy też nie mówiła o moim prawdziwym ojcu, dlatego założyłem, że nie żyje. W tamtym burzliwym okresie mojego dzieciństwa dawałem się ponieść fantazji i zastanawiałem się, czy moja matka nie zamordowała obu mężów.

- Za pomocą leków, do których jako pielęgniarka miała swobodny dostęp? - wymamrotała Kirsten.

Harry'ego przeszył dreszcz. Właśnie tak wyobrażał sobie oba rzekome morderstwa i nie był do końca pewien, czy chce, by Kirsten z taką łatwością odgadywała jego myśli.

- W każdym razie to już przeszłość. Moja matka zmarła trzy lata temu. Wprawdzie nic mi przed śmiercią nie powiedziała, ale zostawiła list. Poinformowała mnie, że mam ojca i siostrę o imieniu Elizabeth. Napisała, że kochała Martina, ale nie potrafiła dzielić z nim życia.

Ostatnie zdanie wypowiedział bardzo cicho. Uważał, że Kirsten nie zdoła go zrozumieć, dopóki nie usłyszał jej spokojnego głosu.

- Jak dotąd, nie widzę w tej całej historii nic, co mogłoby zabić Martina.

Mówiła wolno, zastanawiając się nad każdym słowem. Wyczuł, że to nie wszystko, co chciała mu zakomunikować.

- Ale to nie to cię nurtuje, prawda? - zapytała, podchodząc do okna i usiłując wzrokiem przebić ciemność. - Opowiedzieć historyjkę to prosta rzecz, ale czy możesz dać mu syna i nie być nim? Czy masz prawo wyznać, kim jesteś, poznać siostrę, rozpalić nadzieje dzieci, a potem wskoczyć do swego land-rovera i odjechać w siną dal?

- Nie musi tak być! - zaprotestował.

Jednak ta kobieta była zbyt blisko prawdy i czuł się trochę nieswojo.

- Ale tak by było - rzekła, odwracając się w jego stronę. - Przyznałeś, że wojsko to twoje życie. Nie boisz się, jak ta wiadomość wpłynie na życie Martina, lecz jak odbije się na twoim. Wiesz, że nie jest im łatwo, i będzie prześladowało cię poczucie winy, jeśli powiesz, kim jesteś, a potem spokojnie wrócisz do swojego świata. Więc w duszy pytasz siebie, czy nie lepiej milczeć?

Podeszła krok bliżej, wbijając palec w jego tors.

- Nie możesz zrzucać tej decyzji na mnie, Harry, bo nie powiem ci, że szok zabije twojego ojca. Według mnie wiadomość, że ma syna, wręcz doda mu sił do życia, ale tylko wtedy, kiedy będziesz prawdziwym synem. Jeżeli weźmiesz na siebie część odpowiedzialności, pomożesz Elizabeth w gospodarstwie i w wychowaniu dzieci.

- Słuchaj! - wyrzucił ze złością, zamykając jej dłoń w swojej. - Będę czymś gorszym niż zawalidrogą na tej farmie. Nie potrafię nawet odróżnić jednego końca krowy od drugiego. A co do dzieci...

- Człowieku! - Wyrwała rękę i zaczęła nerwowym krokiem przemierzać pokój. - Możesz się tego nauczyć - stwierdziła z irytującą oczywistością. - Z krowami to prosta sprawa. Jeden koniec gryzie, a drugi... Cóż, wiesz, co robi drugi. Z dziećmi też nie jest to zbyt trudne. Potrzebują miłości i uwagi. Czy to jest takie piekielnie zawikłane?

- Jestem żołnierzem! Czyżbyś zapomniała? Jak mogę zaopiekować się krowami, dziećmi, siostrą i starym człowiekiem, skoro w każdym momencie mogą przerzucić mnie w drugi koniec kraju?! O to się martwię. Chciałbym mieć rodzinę, nawet gdybym nie widywał się z nią często. Chciałbym mieć kogoś bliskiego. Czy to egoistyczne? Jeśli nie mogę im pomóc, to czy nie lepiej zapomnieć o wszystkim? Nie przyszedłem tutaj, żebyś wrzeszczała coś o krowach. Chciałem zwyczajnie porozmawiać.

- Teraz to ty wrzeszczysz - uświadomiła mu.

Łagodne spojrzenie błękitnych oczu przyspieszyło bicie jego serca, a myśli zaczęły błądzić wokół wspomnień o bliskości jej ciała.

- Nie potrafię ci pomóc, Harry. - Żal w jej głosie był niemal namacalny. - Wiesz o tym, prawda? To tylko twoja decyzja. Zgadzam się, że nie możesz mieć wszystkiego, ale takie jest życie: rozbija się o decyzje, kompromisy i granice rzeczy możliwych do wykonania.

Wziął ją w ramiona i pocałował, choć był to błąd. Gorzej niż błąd, ponieważ Kirsten to dodatkowa komplikacja w tym zawiłym równaniu. Uświadomił sobie, że nazwanie uczuć, jakie do niej żywił, będzie trudniejsze niż podjęcie decyzji w sprawie jego rodziny.

- Prawie się nie znamy - wymruczała między pocałunkami, jakimi ją zasypał.

- Mamy jeszcze trzy tygodnie. Może trochę więcej, jeżeli dam żołnierzom przerwę i nie będę ich zbyt poganiał.

- To nie w porządku wobec mieszkańców - wyszeptala, drażniąc wargami jego ucho.

- Trzy tygodnie mogą wystarczyć...

- A co potem? - Odsunęła się, by spojrzeć mu w oczy. - Co będzie, jeżeli się w sobie zakochamy i zapagniemy więcej?

- Możesz być lekarzem w innym miejscu - przypomniał, całując jej powieki.

- Ale jeszcze nie teraz. Nie mogę wyjechać z Murrawarry, dopóki toczy się walka o szpital. Nie zawiodę ludzi, którzy przyjęli mnie tu tak ciepło i stworzyli mi prawdziwy

dom. Nie mogę tak po prostu odejść, wiedząc, że Moira i pan Curtis zostaną przeniesieni do domu opieki w Veretonie.

- W takim razie mamy trzy tygodnie - skwitował, przyciągając ją do siebie, tym razem nie po to, by całować, lecz przytulić do serca. Przez jego głowę galopowały myśli o przeznaczeniu, miłości, bólu i rozłące.

To były trzy tygodnie wykradanych chwil tylko we dwoje, na których kładł się cień decyzji Harry'ego. Trzy tygodnie, podczas których mieszkańcy wracali do Murrawarry, a Kirsten była zajęta leczeniem ran żołnierzy i cywilów pracujących przy przywracaniu miastu poprzedniego wyglądu.

Spotykali się niemal codziennie, choć na krótko. Nie rozmawiali o przyszłości, jednak Kirsten miała nadzieję, że jeżeli Harry zakocha się w niej, to decyzja będzie łatwiejsza. Może Harry zostanie w Murrawarze...

- Nie chodzi tylko o to, że wojsko jest jakąś alternatywą życia - przyznał któregoś popołudnia, kiedy stali na wzgórzu i patrzyli na miasto, z którego już odpłynął bezmiar wód. - Chcę to robić. Nie mógłbym przejąć farmy po Elizabeth, nawet gdybym miał do tego jakieś zdolności. Poza tym nie mógłbym nie pracować, a jaką pracę bym tu znalazł?

Pytanie za sto punktów: co Harry miałby robić w Murrawarze? Nadzieje Kirsten rozwiały się w jednym momencie. Dotąd łudziła się jeszcze, że może zostałaby tu tylko dla niej. W tym czasie ich uczucia nabrały intensywności, lecz przemilczanie rzeczy trudnych oddalało ich od siebie.

- Czy to tak jak z marynarzami? Masz dziewczynę w każdym porcie? W każdym mieście, do którego jedziesz na ratunek?

Zadała to pytanie, kiedy leżeli w jej wąskim, niewygodnym łóżku, przepelnionym w ostatnich dniach miłością. Wykradali czasowi każdą chwilę, którą mogli spędzić razem. Zostało im tak niewiele...

- Nie, właściwie nie w każdym - droczył się z nią, całując jej włosy. Znakomicie wiedział, jak rozpalić iskierki buntu w tych błękitnych oczach.

Tym razem się przeliczył. Zamiast złowrogiego błysku, dostał bolesnego kuksańca. Stracił równowagę, więc chwycił Kirsten mocno, aby nie wylądować na podłodze. Znowu miał ją w ramionach i tym razem już jej nie puścił.

- Tylko w Murrawarze - zapewnił szeptem, przytulając ją do siebie.

- Tylko w Murrawarze - powtórzyła dużo później.

Harry wyczuł smutek w jej głosie i domyślił się, co miała na myśli.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wojsko opuściło Murrawarę już sześć tygodni temu. Przez ten czas Kirsten snuła się bez celu, zastanawiając się, czy miłość mija jak choroba.

Owszem, Harry przysyłał jej kartki. Suche wiadomości z bazy wojskowej: „Bezpiecznie dotarłem do domu”, „Wizyta w Kwaterze Głównej”, i z miast, w których przebywał: „Na manewrach”. Kilka kartek nadeszło z Sydney. Była nawet jedna z biura Departamentu Zdrowia, z notą na odwrocie: „Poznawanie mocnych stron przeciwnika”.

Jednak najdziwniejsza okazała się pocztówka z Melbourne z wizerunkiem prywatnego szpitala. Serce Kirsten zabiło mocniej na myśl o ewentualnej chorobie Harry'ego. „Czy to ci coś mówi?”, odczytała zagadkową wiadomość. Odwróciła kartkę, by jeszcze raz przestudiować zdjęcie przyjemnie wyglądającego jednopiętrowego budynku. Przypominał bardziej dom rodzinny niż szpital. Wiadomość Harry'ego była krótka, zwięzła, pozornie prosta, a jednak... Zupełnie jak Harry. Nie sposób go rozszyfrować.

- Kolejny list miłosny?

Wejście Kena przerwało jej rozmyślenia.

- Chyba napisany niewidzialnym atramentem - mruknęła.

- Cóż, nie może pisać czułych słówek, które mógłby przeczytać ciekawski personel.

- Od czego są koperty? - zapytała, a kiedy dotarły do niej własne słowa, dodała szybko: - Nie mówię, że ma powód, aby pisać do mnie czułe słówka.

- Powiedz to jemu - zażartował Ken.

Kirsten skierowała rozmowę na zawodowe tematy. Ewakuowani pacjenci powrócili do szpitala, personel także. Wszystko szło pomyślnie, poza tym, że zbliżał się koniec kwartału i zaczynało brakować pieniędzy.

- Wytlumaczę wszystkim sytuację, kiedy będą kończyć zmianę - rzekła poważnie.

- Powiesz im, że zamykamy szpital?

- Powiem, że jest to bardzo możliwe. Chyba że zgodzą się pracować za darmo przez kilka tygodni. Mam trochę oszczędności, ale nie wystarczą na długo.

- Nie powinnaś tego robić - zaprotestował. - To robota administratora. Nie mogę uwierzyć, że John Finch zostawił nas pod taką presją. Wszystkim jest ciężko, szczególnie tym, którzy byli tu w czasie powodzi, a on nie raczy nic z tym zrobić.

- Próbował, ale nie poradził sobie ze stresem. - Kirsten czuła się w obowiązku bronić nieobecnego administratora. - Martin Graham zawsze umiał zapobiegać takim sytuacjom, ale jest z nim tak źle, że nie mam serca przytłaczać go dodatkowo moimi problemami. Jim Thompson nie jest jeszcze w najlepszej formie, nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić.

- Personel na pewno będzie mógł pracować za darmo przez jakiś czas, ale to nie załatwi sprawy:

- A zamknięcie szpitala załatwi? - warknęła, ale zaraz przeprosiła go za swoją reakcję.

Ken wrócił do swych obowiązków, a Kirsten zaczęła nerwowo przemierzać pokój, myśląc o kartkach od Harry'ego.

Kartka ze szpitala! Harry jest chory albo ranny. Wykręciła numer i poprosiła o połączenie ze szpitalem.

- Prywatny Szpital fundacji Purvis - odezwał się głos w słuchawce i Kirsten uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, co powiedzieć.

- Mówi Kirsten McPherson. - Po chwili dodała: - Doktor McPherson.

- W czym mogę pani pomóc? Czy chce pani zasięgnąć informacji o którymś z pacjentów czy o naszej placówce?

- Chciałabym... Czy wśród państwa pacjentów jest Harry Graham?

Usłyszała stuk klawiatury komputerowej i po chwili uprzejmy głos w słuchawce poinformował ją:

- Nie, pani doktor. Nie ma tu nikogo o nazwisku Graham. Niedaleko znajduje się szpital Roosevale. Może powinna pani tam zatelefonować?

Kirsten podziękowała kobiecie i odłożyła słuchawkę. Potem kolejny raz sięgnęła po zagadkową pocztówkę, zastanawiając się, jak odczytać wiadomość pisaną niewidzialnym atramentem.

Wzdychanie nic tu nie pomoże.

Późnym wieczorem, kiedy poinformowała już personel o czekających ich problemach, wyszła na dwór. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca w murach klasztoru, usiadła na ławce w ogrodzie, gdzie tak często siadywała z Harrym.

Moje miasto, pomyślała i wciągnęła w płuca powietrze nadal przesiąknięte zapachem błota. Świerszcze grały, a księżyc w pełni rozświetlał niebo. A niech to! - mruknęła do siebie. Wiedziała, że dumania przy świetle księżyca nie wpłyną na nią pozytywnie. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Ogród i trawnik. Dzisiejszego popołudnia zauważyła, że rośliny zaczęły schnąć. Po tylu tygodniach deszczu wydawać by się mogło, że już nigdy nie będą potrzebować wody. A jednak powinna włączyć zraszacze, jeżeli chce, by trawa była nadal zielona. Odkręciła zawór. Wiedziała, że za godzinę wyłączy się automatycznie.

Zza rogu dobiegł ją okrzyk złości. Znajomy krzyk!

- Co ty u licha wyprawiasz! Omal mnie nie utopiłaś! - Przed nią stał Harry i ociekał wodą.

- Witaj... - wykrztusiła między wybuchami śmiechu. - Przyszedłeś kupić pocztówkę z Murrawarry, żeby wysłać ją do kogoś w innym porcie?

- Pewnie tak zrobię - odciął się, próbując wycisnąć jednocześnie wodę z włosów. - Trzeba być szaleńcem, żeby wiązać się z tym miejscem.

- Chyba powinieneś zmienić ubranie - zasugerowała ze śmiechem. Jego widok nappełnił ją niewymownym szczęściem. - Zazwyczaj bywasz milszy, kiedy masz na sobie suche rzeczy.

- Ty mały...! - Nie dokończył. Śmiejąc się, przytulił ją do siebie. - Oboje będziemy mokrzy - wymruczał, kiedy pierwszy pocałunek odebrał jej oddech.

- Nie obchodzi mnie to. - Kirsten mocniej przytuliła się do jego wilgotnego ubrania.

- Nie jesteś ciekawa, dlaczego przyjechałem? - zapytał w przerwie między pocałunkami.

- To też mnie nie obchodzi - szepnęła, chcąc po prostu trwać w jego ramionach.

Tym razem to ona go pocałowała. Zastanowiło ją, jak zareagowałby personel, gdyby zaciągnęła go teraz do swojego pokoju. On jednak delikatnie odsunął się od niej.

- Musimy porozmawiać - powiedział, trzymając ręce na jej ramionach. - Muszę ci coś wyjaśnić, ale najpierw chcę zobaczyć się z ojcem. Czy nadal tu jest?

Chcę zobaczyć się z ojcem... To proste zdanie wyjaśniło Kirsten prawie wszystko. Serce zaczęło bić jak oszalałe. Miała wrażenie, że upadnie, jeżeli Harry jej nie podtrzyma.

- Tak, nadal tu jest - odrzekła, ale zdając sobie sprawę z późnej pory, dodała: - Rano będzie czuł się lepiej. Wiem, że nie chcesz czekać, ale on jest...

Harry położył jej palec na ustach.

- Słaby - dokończył czule. - Zostawiłem rzeczy w hotelu. Wrócę rano. Suchy - szepnął tuż przy jej uchu.

Przyciągnął ją do siebie. Jego usta błędziły w jej włosach, dłonie głaskały plecy. Musnęła palcami mokrą koszulę na jego piersiach, próbując dotykiem powiedzieć mu, co czuje.

- Kocham cię, Kirsten - wyszeptał. - Wiesz o tym, prawda? I wszystko będzie dobrze - ciągnął, nie czekając na jej odpowiedź - ze szpitalem, z Elizabeth, z farmą. Muszę się tyle nauczyć, odnaleźć własną drogę, ale... - znowu odsunął się, by spotkać jej wzrok - z tobą mogę przenosić góry, piękna pani doktor. Czy będziesz ze mną? Przy mnie? Pozwolisz mi dołączyć do bitwy, którą toczysz? Być twoim sojusznikiem? A może za jakiś czas kimś więcej?

W jego głosie zaczęły pobrzmiwać tony niepewności, toteż Kirsten ucałowała go z radością.

- Jeżeli nie pójdę teraz, to nigdy nie pójdę - ostrzegł ją, gdy oderwała usta, by zaczerpnąć tchu.

Bardzo jej ta propozycja odpowiadała, lecz zdawała sobie sprawę, że nie jest to dobry pomysł.

- Zobaczymy się rano - obiecała, jednak nie była w stanie rozstać się z nim tak szybko, więc odprowadziła go kawałek porośniętym trawą zboczem do miejsca, gdzie jeszcze niedawno wznosiły się wojskowe namioty.

Harry pojawił się o ósmej rano i spędził dzień z Martinem Grahamem. Kirsten przyniosła im tylko kanapki i natychmiast zniknęła, nie chcąc naruszać tej delikatnej sfery uczuć, w jakiej się poruszali.

O piątej po południu Harry wyłonił się z pokoju Martina. Był niemal szary ze zmęczenia.

- Zajrzyj tam - zwrócił się do Kirsten. - Nie miałem zamiaru go męczyć, ale nie mogłem wyjść. Musimy sobie wyjaśnić tyle rzeczy, poznać siebie nawzajem. Zrozumiałem, że potrzebuję go tak samo jak on mnie.

Kirsten otoczyła go ramieniem.

- Idź na górę - zasugerowała. - Wróciliśmy do stanu sprzed powodzi. Teraz śpię w twoim pokoju. Odpocznij. Przyjdę później.

Skinął głową i posłusznie wykonał polecenie. Był zbyt zmęczony, aby się jej sprzeciwiać.

Kirsten weszła do pokoju Martina. Zbadała mu puls i ciśnienie krwi. O nic nie pytała. Starszy pan potrzebował odpoczynku i czasu.

- Byłoby dobrze podłączyć cię na noc do respiratora - stwierdziła, ale on potrząsnął przecząco głową.

- Poradzę sobie. W razie potrzeby użyję maski tlenowej. - Przytrzymał dłoń Kirsten. - On mówi, że nie chce farmy, ale pomoże Elizabeth, jeżeli będzie tego potrzebowała. Czy mam mu zaufać?

Zastanawiała się przez chwilę, zanim udzieliła mu odpowiedzi.

- Chyba sam musisz zdecydować. Jednak poznałam go trochę i ja nie boję się mu wierzyć. Chociaż zawsze możesz tak to ułożyć, żeby farma przeszła na Elizabeth i dzieci.

Martin wyglądał na zaskoczonego tą sugestią.

- I wydziedziczyć syna?

- Czy właśnie nie odpowiedziałeś sobie na pytanie? - zagadnęła, uśmiechając się łagodnie. - Ale to nie czas i pora na mówienie o testamentach. Wiem na pewno, że on nie potrafi odróżnić jednego końca krowy od drugiego, co właściwie nie ma większego znaczenia, bo ty hodujesz owce, nie krowy. Jeżeli jednak on ma w jakikolwiek sposób pomóc Elizabeth, to jeszcze przez jakiś czas powinieneś być w pobliżu. Trzeba go nauczyć chociaż podstaw...

Dostrzegła uśmiech na twarzy Martina. Przymknął oczy i po chwili zapadł w sen. Pomyślała, że ten dzień zmęczył bardziej Harry'ego niż jego ojca.

Godzinę później uporała się ze wszystkimi zajęciami i weszła na górę, marząc o tym, by wziąć prysznic i przebrać się. Harry nigdy nie widział jej w eleganckim stroju.

Być może dzisiaj wieczorem mogliby zjeść kolację w którejś z dwóch odnowionych po powodzi restauracji?

Cicho uchyliła drzwi, by nie obudzić Harry'ego. On jednak nie spał. Siedział na łóżku i oglądał pocztówki przyczepione nad biurkiem w kolejności nadsyłania.

- Rozszyfrowałaś je? - zapytał z uśmiechem, gdy usiadła obok.

- Rozszyfrować twoje wiadomości? Pisane niewidzialnym atramentem? Gdybyś mi powiedział, że służyłaś w tajnej organizacji wojskowej, to może bym próbowała.

- Uwielbiam, kiedy się złościysz. - Cmoknął ją w czubek nosa. - Nie pocztówki i niewidzialny atrament, ale zdjęcia!

Kirsten powiodła po nich wzrokiem. Baza wojskowa w Holdsworthy, Sydney, Departament Zdrowia i prywatny szpital. Zatrzymała wzrok na tej ostatniej.

- Ta omal nie doprowadziła mnie do szału! Myślałam, że coś ci się stało. Nawet do nich dzwoniłam, ale skierowali mnie gdzie indziej.

- Do szpitala w Roosevale? Dziewczyna w recepcji pewnie nie skojarzyłaby mojego nazwiska, nawet gdyby je znała.

- O czym ty u licha mówisz? - Kirsten była coraz bardziej zniecierpliwiona.

Wstał, oderwał ostatnią pocztówkę i podał jej.

- Przeczytaj podpis.

- Prywatny Szpital fundacji Purvis. Właśnie dlatego spanikowałam, wariacie!

- I nic ci to nie mówi? - Harry nie dawał za wygraną. Zmarszczyła czoło. Owszem, coś wydawało jej się znajome, ale co?!

- Słyszałam gdzieś to nazwisko - przyznała wreszcie.

- Mówiłem ci, to nazwisko mojej matki.

- Czy to powinno mi coś wyjaśnić? Zaraz, zaraz... Tak nazywał się mężczyzna, którego zamordowała twoja matka. On był właścicielem tego budynku?

Harry wybuchnął śmiechem i usiadł na łóżku, by przytulić rozdrażnioną i całkowicie zagubioną małą kobietkę.

- Morderstwa istniały tylko w mojej wyobraźni, ale szpital jest prawdziwy. Moja matka była pielęgniarką, i to ona go założyła. Przekonała kilku biznesmenów i lekarzy, żeby wyłożyli pieniądze i wsparli jej przedsięwzięcie. Teraz kierują nim kompetentni

administratorzy. Trzema pozostałymi szpitalami również. A wkrótce może będzie czwarty...

Kirsten delikatnie uwolniła się z ramion Harry'ego. Wyprostowała się, jakby pragnąc dodać sobie animuszu, i zapytała poważnie:

- Czyżbyś chciał mnie zawiadomić, że jesteś właścicielem czterech szpitali? Twoja matka zostawiła Martina, wyprowadziła się do Melbourne, zmieniła nazwisko i założyła nie jeden, ale cztery prywatne szpitale?!

- Nie wszystkie naraz - zapewnił ją pospiesznie, chociaż nie rozumiał, dlaczego ta wiadomość zasmuciła Kirsten. - Właściwie czwarty kupiliśmy już po jej śmierci, ale to ona rozpoczęła negocjacje.

- My kupiliśmy? - powtórzyła. - Ty podejmowałeś decyzje?

- Cóż, jestem współwłaścicielem i członkiem zarządu. Nie znam się na medycynie, ale administratorzy informują o wszystkim zarząd - przyznał ze skruchą. Inaczej miała przebiegać ta rozmowa. - Potrafię myśleć logicznie i znam się trochę na biznesie - zaznaczył. - A właściwie, to nie mam pojęcia, dlaczego się przed tobą usprawiedliwiam. Myślałem, że będziesz zadowolona.

- Zadowolona?! Z tego, że jesteś właścicielem kilku prywatnych szpitali? - pytała ze złością. - Więc możesz zaproponować mi pracę w razie potrzeby?

Jej zjadliwy ton zdecydowanie nie wróżył namiętnej nocy.

- Myślałam, że wróciłeś, bo chcesz zostać w Murrawarze, pomóc Elizabeth na farmie, być wujkiem dla jej dzieci i synem dla ojca. Myślałam nawet, że pomożesz mi ocalić szpital, ale jeżeli masz już cztery własne, to tak mało znacząca sprawa, cię nie zainteresuje.

Harry w geście rozpaczy wznosił oczy ku niebu, potem wstał, chwycił tę nieznośną kobietkę za ramiona i lekko nią potrząsnął.

- Możesz przestać wreszcie wysnuwać te idiotyczne wnioski, zamknąć na chwilę swoje słodkie usteczka i pozwolić mi coś wyjaśnić? - Sięgnął po pierwszą pocztówkę. - To moja baza. Poprosiłem o zwolnienie ze służby z powodów rodzinnych.

- Ale wojsko jest twoim... - zaczęła.

- Wojsko było moim życiem - przerwał jej i pocałował w policzek. - Sydney. Tam moje zwolnienie zostało ostatecznie rozpatrzone. - Znowu ją pocałował. - Departament

Zdrowia. Użerałem się z biurokratami w sprawie nowego przedsięwzięcia, mającego na celu powiązanie prywatnych szpitali z państwowymi, żeby te pierwsze mogły przyjmować pacjentów opłacanych z podatków. Rząd skorzystałby na tym, bo byłoby to znacznie tańsze niż utrzymywanie małych placówek.

Kirsten spojrzała na niego pewna, że ulga, jaką poczuła, odbija się w jej oczach.

- Możesz uratować mój szpital? - zapytała nieśmiało.

- To wszystko, co chcesz wiedzieć? Tylko tym się martwisz?

Zmarszczyła czoło, przypominając sobie o jeszcze jednej rzeczy.

- A co ty zrobisz? - wyszeptała. Uśmiechnął się.

- Co zrobię, jeśli nie zechcę zostać w Murrawarze, uczyć się farmerskiego życia od ojca, być popychadłem swojej siostry i wujkiem dla dzieciaków albo nadzorować pracę mojego ostatniego nabytku lub pozostałych czterech?

Potał podbródek o jej policzek, a wesołe chochliki zamigotały w jego oczach.

- Cóż, podejrzewam, że mógłbym kochać się ze swoją dziewczyną, być może się ożenić, mieć dzieci, żeby Anthony'emu, Meg i Libby nie brakowało kuzynów. Co ty na to?

Kirsten wspięła się na palce, by dosięgnąć jego ust.

- Jak szybko możemy wprowadzić w życie pierwszą część twojego planu? - wyszeptała.

Mocny, dźwięczny śmiech rozniósł się echem po malutkim pokoiku, kiedy Harry porwał ją w ramiona i uniósł w górę.

